

POLSKA WALCZĄCA

Biblioteka
UMCS
Lublin

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCYZYŃNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień

Dnia 26-go lutego 1944r.

Rok VI. Nr. 8

„Z ZIEMI WŁOSKIEJ...”

Nie po raz pierwszy żołnierz polski stoi na włoskiej ziemi i nie po raz pierwszy się wybiera z ziemi włoskiej do polskiej. Przecież tam, „na lombardzkim polu” powstały w styczniu 1797 roku legiony Dąbrowskiego, „posiłkujące Lombardię” przeciw Niemcom i tam „dał nam przykład Bonaparte, jak zwyciężać mamy.” Kiedy zaś zawarł rozejm z Austriakami w Leoben i bataliony legionowe musiały zawrócić w marszu ku Ojczyźnie, kiedy rozpacz ogarniała ich szeregi, instynkt kazał im wytrwać w obcej służbie na obcej ziemi, by nie zerwać sojuszu z „Wielkim Narodem” francuskim, instynkt, który mówił, że „jeszcze Polska nie umarła,” pokład żyje wojsko polskie.

Latem tegoż roku — gdzieś w lipcu — zabłysła im nadzieja. Zanosilo się na zerwanie rokowań, na odnowienie się wojny. Były jakieś projekty wyprawy przez Adriatyk na Balkany i zdawało się, że „dla Ojczyzny ratowania wrócić się przez morze.” Były wieści o Kościuszcze, że uwolniony ze srogiej rosyjskiej niewoli, że w drodze na zachód, że może przybędzie. Wracało wspomnienie Raclawic i kos raclawickich i radość się budziła, że „Kościuszkę Bóg pozwoli” i nadzieja wsparcia powstającego kraju, wizja zaplakanego ojca, który mówi do swej Basi o wracającym wojsku narodowym.

A wszystko to ujął stary, poczciwy Wybicki, niegdysz konfederat barski, w nieśmiertelne a dziwnie proste słowa „Mazurek Dąbrowskiego,” który stał się z czasem naszym hymnem narodowym. A przez to pokolenia całe naszego narodu od dzieciństwa wiązały z ziemią włoską czyn polskiego żołnierza i jego drogi tułaczki w przerywanej wielokrotnie wędrówce, mającej „złączyć go z narodem” — ku Wiśle i Warcie.

Nadzieje ówczesne — z lipca 1797 roku — zawiodły. Październik przyniósł straszne rozczarowanie — pokój w Campo Formio. Ciężki ten cios przetrwali. Pozostali jako „Legie Auxyliarne Republiki Cyzalskiej,” służąc zbrojnie interesom francuskim we Włoszech, a krzepiąc się wiarą, że służą sprawie wolności, „która jest jedna i niepodzielna.” Na razie podbijali państwo papieskie a 3 maja 1798 roku uroczyste wkroczyli do Rzymu. Może niedługo wkroczą będzie tam znowu żołnierz polski, tym razem w prawdziwych armiach wyzwolenia, oswobodzających Wieczne Miasto od barbarzyńskiego najeźdźcy.

Niektórzy wstąpili wtedy do wojska Republiki Rzymskiej, ale niewiele wyszło z tego wojska i z tej Republiki. Obie Legie — osiem batalionów piechoty z artylerią — uzupełniały swą organizację, wykształcenie, wytwarzały nowe w wojsku polskim formy życia wojskowego, polegające na braterstwie łączącym wszystkich, od szeregowca do generała, na podnoszeniu chłopca-szeregowca, byłego austriackiego żołnierza, wydobytego z francuskich „przyzónów” na poziom wolnego obywatela i świadomego bojownika wielkiej sprawy.

Właśnie Kościuszkę stanął w Paryżu. Spieszyły obie Legie oddać się pod jego moralne zwierzchnictwo. Z czulością odpowiadał im Najwyższy Naczelnik Siły Zbrojnej Narodowej. Mówił im, że są zawiązkami wielkiej armii polskiej. Że ich zadaniem „ponieść dar wolności Ojczyźnie i udział światła współziomkom.” Że mają

żyć w braterstwie z Francuzami i „Cyzalpinami.” Że mają się oświecać i kształcić, bo z nich mają być oficerowie przyszłego wojska polskiego po powrocie do Kraju.

Tymczasem zamiast w stronę Kraju, ku północy, pomaszerowali w początku 1799 roku główną swoją siłą w pięć batalionów, przeciw Neapolitańczykom. Rozbijali ich śmiało uderzeniami pod Civita Castellana, zdobywali Gaetę /tak blisko dzisiejszego frontu nad Garigliano/.

Później, po zwycięskiej kampanii i zdobyciu Neapolu nasz Książewicz wyprawiony został do Paryża i jak czytamy w „Panu Tadeuszu” — „zwycięzca, zdobytych potomkom Cezarów rzucił w oczy Francuzów sto krwawych sztandarów.” Bogiem a prawdą, było ich kilkadziesiąt, a nie tak bardzo były krwawe, ile że wojska neapolitańskie nie odznaczały się zbytnią tęgością w boju. Nasza wiara mówiła o tym mniej uroczysto, że „Francuz razem z Polakiem zjedli makarony z makiem.” Dowodził bowiem Neapolitańczykami generał austriacki Mack.

Ale po zwycięstwach przyszły ciężkie i przykre przeprawy z chłopską partyzantką włoską, zawiętą i srogą. Tymczasem zaś

wszczęła się druga wojna koalicyjna przeciwko Francji. Sprzymierzone armie austriackie i rosyjskie wkroczyły do Włoch. Legia druga Rymkiewicza skrwawiła się nad Adygą, gdzie straciła dowódcę, poczem pod rozkazami Wielhorskiego broniła fortecy Mantui. Przy kapitulacji haniebnie wydano w ręce austriackie Polaków — byłych cesarskich żołnierzy na okrutne kary i srogą niewolę.

Dąbrowski z główną częścią Legionów — pierwsza Legia, oraz bataliony doborowe grenadierów i strzelców i świeżo zaimprovizowany pułk kawalerii — przybiegł z Neapolu w porę, by wziąć udział w ciężkiej czterodniowej bitwie nad Trebbią z Rosjanami Suworowa. Obficie popłynęła tu krew polska, Dąbrowski sam był ranny. Ocalałe szczątki były się pod Novi, poczem przeżywały straszną nędzę, będącą udziałem armii francuskiej w Ligurii.

W roku 1800 odtworzono Legiony. Część ich stała się zawiązkami Legii Naddunajskiej Książewicza. Dąbrowski zorganizował nowych siedem batalionów piechoty z artylerią. Uczestniczył w późniejszej fazie kampanii tego roku. Znowu był na tym samym szlaku przez Karyntię na Wiedeń, ku Polsce. I znowu przyszło zawieszenie

broni i jeszcze gorsze traktaty wojskowe z obu zaborcami.

Francja zobowiązała się nie utrzymywać wojsk polskich. Bonaparte rozkazywał je między państewką włoskie, by je zakamuflować i przechować. Burzyli się. Żądali pozostawienia w służbie francuskiej. Choćby iść na San Domingo, gdzie właśnie szedł francuski korpus ekspedycyjny. Poszły dwie trzy-batalionowe półbrigady. Doszczętnie niemal przepadły.

Jedna już tylko została we Włoszech polska półbrigada, a także wslawiony w bitwie pod Hohenlinden w 1800 r. pułk jazdy Legionów. Doczekali się nowej wojny, trzeciej koalicyjnej. Odegrali rozstrzygającą rolę w bitwie pod Castel Franco w 1805 r., gdzie niesiono doszczętnie korpus austriacki i zabłysły nazwiska Grabińskiego, Chłopickiego, Rożnieckiego. W roku następnym za to pod Maida nad zatoką Santa Eufemia w walce z lądującymi Brytyjczykami pułk piechoty polskiej został mocno poturbowany i stracił sporo jeńców. Niewola zaś brytyjska nie była w owe czasy tak uprzejma i wygodna, jak dzisiaj.

Dzisiaj w ogóle odmieniły się rzeczy. Żołnierz polski nie przeciw Brytyjczykom walczy, ale ramie

w ramie z nimi. Ramie w ramie z Francuzami, tradycyjnymi towarzyszami broni. Ramie w ramie z Amerykanami, z którymi łączy go tradycja walki o wolność. Ramie w ramie z Włochami, odradzającymi swe siły zbrojne dla wyzwolenia swej Ojczyzny.

Bardziej jest dziś oczywiste, niż za Dąbrowskiego, że żołnierz polski bije się o „sprawę narodów,” z którą razem musi zwyciężyć sprawa polska.

Wtedy, w r. 1806, raptownie wezwany, popędził Dąbrowski do kwatery Napoleona, do Prus, by podejmować sprawę powstania narodowego i Wielkopolskę postawić pod broń. Niebawem pomaszerowali żołnierze tułaczki ku Ojczyźnie.

Minęły lata. Przyszła doba odrodzenia Włoch — *Risorgimento* — i długich ich walk o wolność. Wtedy to Mickiewicz stworzył legion polski w Rzymie. Książę Adam Czartoryski zawierał konwencję z papieżem, a później z królem sardyńskim w sprawie polsko-włoskiej współpracy wojskowej. General Chrzanowski dowodził naczelnie armią piemontką. Później generał Mierosławski dowodził armią powstańczą na Sycylii. Wielu Polaków walczyło w szeregach Garibaldi’ego w jego zuchwałej wyprawie, jednoczącej Włochy w jedno państwo narodowe. Zespoiliła nas z narodem włoskim walka za wolność — naszą i waszą. Odplacili się nam Włosi, śpiesząc licznie do polskich powstańczych szeregów w roku 1863.

Po wielu dalszych dziesiątkach lat — u schyłku tamtej wojny światowej na ziemi włoskiej, z obozów jeńców, dziesiątki tysięcy Polaków w austriackich mundurach przechodzili w szeregi polskiej „błękitnej” armii generała Hallera. A wśród powstających pułków były pułki pod wezwaniem Garibaldi’ego i bohatera powstania styczniowego, pułkownika Francesco Nulli. Od miast włoskich otrzymywały na drogę żołnierską ku Polsce sztandary — godła braterstwa i przyjaźni.

Znow upłynęło przeszło lat dwadzieścia. W tragiczne dni jesienne 1939 roku, przez całą następną zimę i wiosnę codziennie jechali przez Włochy grupy polskich żołnierzy. Jechali w nędznych ubraniach cywilnych, wypierając się wojska i wszelkich spraw jego. Otaczała ich zycziwa, uprzejma dyskrekcja gospodarzy. Wiedzieli, że to żołnierze, że jadą do Francji, do Armii Polskiej, że staną się może przeciwnikami. Ale stara tradycja przyjaźni była mocniejsza od względów politycznych, od nowych związków „osiowych” i oficjalnej przyjaźni z Niemcami.

Dzisiaj z ulgą myślimy, że naród włoski nie jest już w obozie wrogim. Ciężkie jego przejścia zbliżają go do nas, jak wierzymy, ponownie, i bardziej, niż kiedykolwiek w przeszłości. A przyczynią się do tego walki naszych wojsk o wyzwolenie Włoch.

Nasz Korpus II. zapisze nową kartę w dziejach wojska polskiego we Włoszech. Oby była świetna, ale krótka i urwała się odejściem stamtąd dalej w stronę Kraju.

Karta ta będzie piękna, godna poprzednich. Bo też walczy są żołnierze Korpusu II. swoich poprzedników, dawnych żołnierzy polskich, których wiodły szlaki tułaczki na ziemię włoską.

WOJNA O PRAWO

Spór polsko-rosyjski zdaje się przebiegać według tych samych praw, które rządzą toczącą się wojną. I w nim krótkie okresy pełne napięcia, aż zagęszczone od wydarzeń, wymieniają się z okresami złudnej ciszy, pozornej pustki. Po tygodniu, w którym zjawily się no sobie kolejno dwa oświadczenia sowieckie i jedno polskie, nastąpił — mówią angielskim językiem wojennym — „lull” prawie miesięczny.

Ciążył on na naszej świadomości równie dotkliwie, może jeszcze dotkliwiej, niż tamten huraganowy tydzień. Rozumieliśmy, my żołnierze, rozumieliśmy to lepiej, niż ktokolwiek inny, że właśnie wytrzymanie groźby, możliwości ataku, jest równie ważne, a czasem nieraz trudniejsze, niż wytrzymanie natarcia, idącego z określonej strony, w rozpoznanym kierunku, na cel, którego można się domniemywać. Nie będzie chyba nadmiaru optymizmu w stwierdzeniu, że do tej żołnierskiej odporności, do tego hartu nerwów, coraz bardziej dorasta cała społeczność emigracyjna. Coraz powszechniej pojmują się, że pierwszy obowiązek każdego z nas tutaj stanowi wysiłek samoopanowania, spokojnego, powściągliwego osądu, niezachwianej równowagi.

W ostatnich dniach ta obowiązująca postawa polska przeszła musiała dwie nowe próby. Jedną z nich był oszczerczy artykuł „Prawdy” przeciwko Polsce, jej Rządowi, jej rzeczy najbardziej kosztownej i najdroższej — Ruchowi Podziemnemu. Drugą stanowi powódź sprzecznych informacji i oświadeń, jakie przyniosła londyńska prasa niedzielną.

O ataku „Prawdy” nie warto mówić. Są furie bezsilne i są oszczerstwa, które same się unicestwiają, bo są zbyt lekkomyślnym wyzwaniem zdrowego rozsądku. Do takich występów należą niestety absurdalne nieprawdy „Prawdy” moskiewskiej. Tak je potraktowała opinia brytyjska, tak na nie odpowiedziała opinia polska.

Informacje niedzielnej prasy — tułczej wymagają rzeczowego komentarza, wymagają sprostowań i jasnych ustaleń.

Jedno w tych doniesieniach jest zgodne i jest — zgodne z prawdą. Mianowicie fakt, że Polska stoi niezmiennie na stanowisku dobrej woli i na stanowisku obowiązującego prawa.

Nowy dowód dobrej woli stanowią zarządzenia dla Armii Krajowej, ustalone w zgodnym porozumieniu między Rządem i Naczelnym Wodzem. Mówią one o tym, że pomimo braku bezpośrednich stosunków dyplomatycznych między Polską a Rosją nasze siły zbrojne w Kraju, organy polskiego państwa podziemnego okazały gotowość współdziałania z wojskami sowieckimi w operacjach wojennych przeciw wrogiemu niemieckiemu. Jest to niewątpliwie „ustępstwo.” Nie ma powodu tego okazywać. Ale jest to także jeszcze jedno dobitne stwierdzenie naszej wierności dla idei Zjednoczonych Narodów, jest to jeszcze jedno świadectwo naszej konsekwentnej walki z hitleryzmem.

Dotrzymując wierności sojusznikom w ciężkich, trudnych warunkach, cięższych i trudniejszych, niż te, które są udziałem jakiegokolwiek narodu w tej wojnie — Polska ma obowiązek dotrzymać wierności samej sobie. I to jej nie może być zaprzeczono. Na wierności prawu opiera się jej ciarność państwowa, legalność Rządu, suwerenność jej sił zbrojnych, które walczą pod swoimi znakami i sztandarami na morzu, w powietrzu i w tej chwili — na ziemi włoskiej. Wiernością prawu Polska stoi i ostoi się w tym tragicznym zamęcie.

Dlatego jest nieporozumieniem z wielu stron, jeśli się doradza, zachęca, domaga, aby w tej chwili, w tych okolicznościach zapadły ostateczne postanowienia co do zmian terytorium Rzeczypospolitej. Według obowiązującej Konstytucji prawo zmiany granic państwa jest zawarowane dla ciał ustawodawczych, wyłonionych w wolnych, powszechnych wyborach przez cały naród.

Rząd nasz może mówić i zapewne mówi o granicach wschodnich, zachodnich i północnych Polski jako całości, może dla konferencji pokojowej i dla nowego Sejmu polskiego przygotowywać materiał w tym względzie. To jest jeden z jego obowiązków i jedno z jego zadań. Rząd nasz może i w danej sytuacji powinien uzgadniać techniczne sprawy dotyczące administracji terenów odbieranych Niemcom. Takim sens miałaby zapewne linia demarkacyjna idąca na wschód od Lwowa i Wilna, o której pisała ostatnio prasa londyńska.

Jedno jest pewne. Rząd polski, jak żaden rząd konstytucyjny, powołany na podstawie prawa i związany prawem — nie przyjmie dyktatu granicznego, czy byłby on korzystny lub niekorzystny, czy miałby formę uprzejmego zaproszenia lub ultimatum. I to także jest pewne, że żaden rząd demokratyczny nie przyjmie dyktatu z zewnątrz co do tego, kto ma w nim zasiadać a kto nie. Podanie się takiemu dyktatowi było by więcej, niż sprzeniewierzeniem się prawu. Było by sprzeniewierzeniem się woli zbiorowej, tej niezależnej i stanowiącej o sobie woli narodu, który przez swoich przedstawicieli stanowi prawo i powołuje rząd do jego pilnowania i obrony.

W tym świetle trzeba także stanowczo odrzucić doniesienia prasy brytyjskiej o rzekomych „rozdźwiękach” w Rządzie Polskim. Niewątpliwie w tych czasach tak osobliwych i okolicznościach niebywale trudnych robieranie decyzji przez ludzi, którzy dźwigają cały, olbrzymi ciężar odpowiedzialności nie jest rzeczą łatwą i prostą. Mogą być, muszą być wśród nich różnice co do szczegółów, nie ma i nie może być różnicy co do istoty rzeczy. Rząd demokratyczny, w którym nowstaje taka różnica, po prostu podaje się do dymisji i jest zastąpiony innym rządem.

Uświadomienie sobie tych prostych prawd jest ważne w tej chwili, gdy na nasz temat nasze się rzeczy opaczne, oparte na nieporozumieniach i niezrozumieniach. Uświadomienie sobie tych oczywistych prawd daje jasną, dokładną miarę do oceny tego, co się mówi i pisze o nas, daje nieodpartu argument przeciw temu, czego się od nas żąda. Uświadomienie sobie tych prawd może nadto stanowić czynnik siły wewnętrznej, odporności nerwów, której nam trzeba ciągle i na długi czas jeszcze. Dlatego może dobrze się stało, iż ostatnią falą dyskusji prasowej wyniosła te prawdy na powierzchnię.

Rozmaicie już tę wojnę — szczerze i nieszczerze — nazywano: wojną o demokrację, wojną o człowieka, wojną o lepszy świat. Dla nas Polaków jest to także, w tej chwili widzimy w jakim stopniu — wojna o prawo.

Stojmy na gruncie prawa. Z gruntu prawa nie zejdziemy.

ALEKSANDER JANOWSKI

MARIAN KUKIEL

POD CASSINO I POD ANZIO

Ostatnie doniesienia z frontu włoskiego powiadają, że walki o Cassino trwają dalej, ale równocześnie, że istnieje możliwość obejścia tego miasta. Nie zdajemy sobie na razie sprawy, czy bombardowanie słynnego klasztoru Benedyktynów, jednej z kolebek kultury europejskiej, pomogło wiele. Okazuje się bowiem teraz, że i tak Cassino zamierza się obejść. Cała sprawa bombardowania Monte Cassino jest dalej okryta tajemnicą. Wiemy, że Stolica św. prosiła o oszczędzenie klasztoru i że wojska sojusznice robiły godne pochwały wysiłki, ażeby istotnie nie wyrządzić szkody klasztorowi.

Na razie na froncie głównym we Włoszech nie sposób zanotować postępów decydujących. Nasuwa się wniosek, że na froncie tym dokonuje się przede wszystkim szkolenia jednostek i że oddziały armii szybko się tam zmieniają. W takich warunkach trudno mówić o szansach szybkiego pochodu.

Pod Anzio położenie jest na razie jakby opóźnione, jakkolwiek wszelkie wnioski byłyby może przedwczesne, albowiem nie mamy dokładnych raportów. Prasa podaje raczej ogólniki i widać, że nie jest ona zbyt zbytnio w laskach tamtejszego dowództwa. Ataki niemieckie jakby osłabły nieco na sile, ale nie znaczący, ażeby nie miały zostać podjęte. Przez czas jakiś "Luftwaffe" przeprowadzała bardzo ostre ataki, dowodząc, że nie jest ona tak słaba, jak to przypuszczano jeszcze niedawno. Potem do akcji przeszło lotnictwo sojuszników, dokonując rozlicznych wypadów. Dzisiaj nie wiemy, jak się to przedstawia. Czy lotnictwo alianckie będzie coraz silniej udzielać, czy też będziemy mieli do czynienia z wielkimi starciami czołgów. Okazało się, że sama przewaga lotnicza jeszcze nie może zdecydować wyniku bitwy i że pomimo tej przewagi nie zdołano zapobiec niemieckim koncentracjom, jak i uciśnięciu niemieckich baterii.

W danej chwili mamy do czynienia na froncie włoskim z zapasami, które nie tak szybko decydują się na tę czy drugą stronę. Opór niemiecki nie wykazuje nigdzie objawów załamania się. Włochy są dalej terenem bardzo powolnego marszu.

ATAKI I KONTRATAKI LOTNICZE

W ostatnich dniach uderzenia lotnicze sojuszników obejmowały przede wszystkim działania dzienne. Atak na Berlin był na olbrzymią skalę, bo w ciągu 30 minut zrzucono 2500 ton bomb. Około 1.000 maszyn brało udział w nalocie.

W odpowiedzi na ten atak "Luftwaffe" dokonała nalotu na Londyn, który oczywiście reklamowano w Niemczech jako niebываły ostry i niszczący. W rzeczywistości "Luftwaffe" dokonała istotnie najbardziej energicznego uderzenia na Londyn od czasu "blitzów" i starała się wznicić możliwie największą

ilość pożarów. Zadanie to nie było łatwe, albowiem ogień z ziemi był silny, a służba straży pożarnej działała doskonale. Mimo to "Luftwaffe" zrzuciła znaczną ilość bomb zapalających, co dowodziło, że w akcji nie było bombardowców ciężkich, ale przede wszystkim średnie maszyny i że polityka bombardowania przez Niemców idzie dalej po linii największego zniszczenia przez pożary.

Nalot ostatni obudził czujność miasta Londynu. Panuje przekonanie, że "Luftwaffe" może powtórzyć swoje ataki i że na wiosnę b.r. możemy mieć do czynienia z nowymi próbami replik — słabszych czy silniejszych na olbrzymie ataki sojuszników.

JAK Z DRUGIM FRONTEM?

Pisma brytyjskie coraz częściej stwierdzają, że boje na kontynencie Europy zapowiadają się jako bardzo ciężkie. O ile jeszcze przed rokiem uznawano, iż w razie zdecydowanego uderzenia na brzegi Europy maszyna niemiecka pocnie szybko zawodzić, o tyle obecnie coraz bardziej przeważa przekonanie, że nawet przy ustaleniu kilku przyczółków posuwanie się naprzód nie pójdzie tak szybko i że dotarcie do granic Rzeszy nie będzie łatwe.

Ostatnio prasa sowiecka oraz sprawozdawcy brytyjscy z Moskwy jak n.p. Alexander Werth w "Sunday Times" z dnia 20.II. zaznaczają, iż w Moskwie istnieją obawy, że otwarcie drugiego frontu może się znów opóźnić. Podobno nawet istnieją po-

14 lutego: W nocy z 13/14 polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

—Polskie dywizjon myśliwskie osłaniały wyprawę bombową oraz przeprowadziły wymiatania.

—W Berlinie ogłoszono o walkach z wojskami sowieckimi koło Dubna.

15 lutego: Lotnictwo amerykańskie, po uprzednim ostrzeżeniu, bombardowało klasztor Benedyktynów Monte Cassino.

—Polskie samoloty bombowe patrolowały nad Zatoką Biskajską w nocy 14/15. Wszystkie samoloty powróciły.

—Polskie dywizjon myśliwskie trzykrotnie osłaniały wyprawę bombową. Wszyscy piloci polscy powrócili.

16 lutego: Sztab Naczelny Wodza i Kwatera Główna Sprzymierzonych w Afryce Północnej ogłosiły równocześnie, że II. Korpus Polski pod dowództwem gen. dyw. Wł. Andersa wszedł ostatnio do akcji bojowej we Włoszech. W skład Korpusu wchodzi m.in. Dywizja Karpacka i Dywizja Kresowa.

zszego bezpieczeństwa dla bombardowców. Ma to jeszcze inne oblicze, nader groźne dla Luftwaffe: gdy starcia myśliwców z bombardowcami nie są dla myśliwców zbyt groźne, nawet, gdy atakują fortece, najeżone karabinami maszynowymi i działkami, to obecność myśliwców obok bombardowców i to myśliwców uzbrojonych nie były jak — oznacza walki ciężkie i straty z reguły bardzo duże. Stałych walk i z tym połączonych stałych strat Niemcy muszą lękać się ogromnie. To bowiem wrywa zbyt duże szczyby w stan liczebny pierwszej linii. Amerykanie nie boją się strat tym bardziej, że mają na celu, nawet kosztem największych strat własnych, zadać jak najwięcej strat nieprzyjacielowi.

Słusznie zauważył jeden z amerykańskich dowódców, że o ile pogoda dotrzyma przez dłuższy czas nad kontynentem, to Luftwaffe może stanąć w obliczu najpoważniejszych trudności w tej wojnie, a kto wie — może nawet katastrofy swoich stanów liczebnych pierwszej linii.

Straty niemieckie w walce z lotnictwem alianckim są większe od strat Aliantów. Przyczyną tego jest przede wszystkim lepszy sprzęt Brytyjczyków i Amerykanów. Wspominając zaś o amerykańskim sprzęcie myśliwskim musimy powiedzieć, że zdaniem obserwatorów neutralnych Thunderboldy, Lightningi i Mustangi o nieco przewyższają niemieckie samoloty myśliwskie. Rzeczywiście, to jedno wydaje się pewne: siła ognia i kalibrem przewyższają na pewno nie tylko niemieckie, lecz nawet niektóre brytyjskie typy, zaś dzięki szybkostrzelności działek, amerykańskie myśliwce należy szeregować dziś do ekstraklasy tego rodzaju samolotów.

Fotografie przywołane przez pilotów/kamery są wbudowane do skrzydeł każdego samolotu wylatującego na zadanie operacyjne, uruchomiane są automatycznie, równocześnie z rozpoczęciem przez pilota ognia, otóż te fotografie pokazują nam fakty zupełnie nie do wiary. Samoloty nieprzyjacielskie nieraz rozlatują się w powietrzu jakby w nie trafił ciężki pocisk artyleryjski. Może właśnie wyższość sprzętu i uzbroje-

dejrzenia, że nie dojdzie do powołania do życia tego frontu w tym roku. Oczywiście, są to tylko domysły, ale są one niepokojące. R. 1944 wien za wszelką cenę być rokiem inwazji. Inaczej bowiem cała rachuba wojenna może się opóźnić. W lecie r. 1942 atakowano autora tych słów za wyrażenie w "Polsce Walczącej" przypuszczenia, iż wojna może się przeciągnąć do r. 1945. Okazuje się, że ten, jak to wtedy mówiono "pesymizm", był w pełni uzasadniony. Gdyby jednak w tym roku nie doszło do inwazji, to granica r. 1945 byłaby jeszcze za bliska.

CO Z FINLANDIĄ?

Nic bliższego nie da się powiedzieć o zabiegach pokojowych Finlandii. B. premier tego kraju Paasikivi bawi podobno dalej jeszcze w stolicy Szwecji odbywając narady z panią Kollontaj. Chodzą słuchy, że uda się on do Berlina. Inne głosy powiadają, że wyjedzie do Moskwy.

Tajemnica, jaka otacza misję b. premiera fińskiego dowodziła by, że jednak rozmowy się posuwają. Prasa fińska coraz bardziej przygotowuje ogół fiński na możliwość porażki i konieczność ustępstw. Nie wiemy, co zrobi Rzesza i czy istotnie zachowa się ona tak, jak w sprawie włoskiej. Wprawdzie wskazuje się, że wyciszenie Finlandii z wojny otwiera cały front północny i grozi bezpośrednio stanowiskom niemieckim w Norwegii, ale z drugiej strony nie jest wykluczone, że Niemcy będą natrzeć

—W nocy z 15/16 lotnictwo brytyjskie dokonało b. ciężkiego nalotu na Berlin. W ciągu 30 minut zrzucono około 2.500 ton bomb. Ponadto tej samej nocy bombardowany był Frankfurt nad Odrą oraz Zachodnie Niemcy. Ogółem tej nocy w działaniach wzięło udział ponad 1.000 bombowców.

—W nocy z 15/16 polski dywizjon bombowy brał udział w działaniach bojowych. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Amerykańska marynarka wojenna oraz lotnictwo przeprowadziły silny atak na wyspę Truk, bazę japońską.

—W Londynie opublikowano po raz pierwszy fotografie z życia i walk polskiej Armii Krajowej.

17 lutego: W Moskwie ogłoszono o zakończeniu, po 14-stu dniach walk, operacji pod Korsunem i Kaniiowem, w czasie których zniszczono okrażoną niemiecką Osmą Armię. Zabito 52.000 Niemców oraz wzięto do niewoli 11.000.

—Prasa londyńska podała wiadomość o rozmowie Churchilla z pre-

bardziej obojętnie na wyjście Finlandii z wojny. Dla nich może ta historia dzisiaj przedstawiać raczej skrócone frontu. Przypomnieć należy, że swojego czasu chodziły pogłoski, iż Niemcy gotowi są opuścić Norwegię, ale że chcieliby przekazać Szwecji niejako nadzór nad nią i mieć zapewnienie, że Norwegia przejdzie na neutralność.

NA FRONCIE WSCHODNIM

Nie wiemy dalej, jak się właściwie przedstawia los jednostek niemieckich w saku korsuńskim. Podobno część tych wojsk przebiła się. Rosyjskie komunikaty przedstawiają los tych jednostek bardzo tragicznie, stwierdzając, że poważna ilość żołnierzy i oficerów dokonała samobójstwa, że dobijano rannych i t.d. Nie wiemy, jak się to przedstawiało istotnie, ale jeżeli wersja sowiecka jest prawdziwa, to osłabienie t.zw. moralni niemieckiego żołnierza nie musi być znaczne. Bije się on teraz na ogół lepiej, aniżeli przed rokiem.

Doniesienia neutralne mówią, że wojska niemieckie będą cofały się dalej i że linie obrony Rumunii są bardzo wzmocnione, podobnie jak linia obrony Zbrucz i dalej, przed Lwowem. Wiele wskazuje na to, że wojska niemieckie na początku wiosny znajdują się na tych silnych liniach. Czy atak niemiecki wyjdzie z tych linii i kiedy, nie wiemy, ale wydaje się, że pogotowie niemieckie w Polsce jest poważne i że nie obejdzie się bez jednej jeszcze próby nie-

miękiej uderzenia w trzon armii sowieckiej.

Pisma angielskie coraz częściej używają obecnie wyrażenia, jakiego użyliśmy tutaj przed kilku tygodniami, mianowicie mówią o "unikach" armii niemieckiej, która nie chce dojść do zwarcia i usuwa się stale a powoli ku zachodowi.

W tych warunkach istnieje dalej możliwość przyścia ofensywy niemieckiej. Armia niemiecka okazuje się dalej silna i wcale zwarta.

—W nocy z 15/16 lotnictwo brytyjskie dokonało b. ciężkiego nalotu na Berlin. W ciągu 30 minut zrzucono około 2.500 ton bomb. Ponadto tej samej nocy bombardowany był Frankfurt nad Odrą oraz Zachodnie Niemcy. Ogółem tej nocy w działaniach wzięło udział ponad 1.000 bombowców.

—W Londynie ogłoszono, że w dniu 29 ub.m. oddział Armii Krajowej dokonał zamachu na gubernatora generalnego H. Franka. W zamachu zginęło wielu Niemców, sam jednak Frank uszedł cało.

20 lutego: W nocy z 19/20 lotnictwo brytyjskie dokonało bardzo silnego nalotu na Lipsk. W nalocie wzięło udział około 1.000 samolotów. Zrzucono ponad 2.300 ton bomb. 79 samolotów nie powróciło.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało za dnia fabryki samolotów w Lipsku, Gotha i Bernberg. Był to największy dotychczas dzienny nalot lotnictwa Sprzymierzonych. W nalocie wzięło udział, razem z lotnictwem myśliwskim, około 2.000 samolotów.

—W nocy z 15/16 polski dywizjon bombowy brał udział w działaniach bojowych. Wszystkie załogi polskie powróciły.

—Amerykańska marynarka wojenna oraz lotnictwo przeprowadziły silny atak na wyspę Truk, bazę japońską.

—W Londynie opublikowano po raz pierwszy fotografie z życia i walk polskiej Armii Krajowej.

17 lutego: W Moskwie ogłoszono o zakończeniu, po 14-stu dniach walk, operacji pod Korsunem i Kaniiowem, w czasie których zniszczono okrażoną niemiecką Osmą Armię. Zabito 52.000 Niemców oraz wzięto do niewoli 11.000.

—Prasa londyńska podała wiadomość o rozmowie Churchilla z pre-

Brytyjczycy od początku bardzo nieufnie patrzyli na nurkowce. Może nie tyle Brytyjczycy, ile Air Ministry. Air Ministry przewidywało rychły zmierzch nurkowca i broniła się rękami i nogami przed presją opinii publicznej, zasugerowanej powodzeniami niemieckimi. Air Ministry popierała ideę samolotu, placu boju, broni technicznej, broni nie tylko zdolnej do ataku, lecz także do własnej obrony. Luftwaffe długi czas trwała uparcie przy nurkowcach. Dlatego dziś Luftwaffe i na tym polu jest w tyle. Jej samoloty placu boju są raczej przeróbka pewnych czysto myśliwskich typów, nie można jednak powiedzieć, że nie udaną. Focke Wulfy stały się bardzo dobrymi myśliwcami bombardującymi i oddają duże usługi armii niemieckiej, są też bardzo groźne na skutek swej dużej nośności, przy atakach na obiekty stałe.

Wbrew wyrażonej przez nas w ostatnich "Nowościach" opinii, że Niemcy nie ujmą w ręce we Włoszech inicjatywę z powodu braku lotnictwa, Niemcy to zrobili. Przynajmniej się do omyłki. Jednak przynajmniej się z zastrzeżeniem. Dlaczego Niemcy mogli zaatakować? Okres najgorszych pogód przykuł lotnictwo alianckie do lotnisk. Niskie chmury, deszcz ze śniegiem i mgłą nie pozwoliły na wsparcie wojsk umocnionych na pozycjach przyczółkowych koło Nettuno i Anzio. Niemcy uderzyli i odnieśli niewątpliwie pewne sukcesy. Jednak powodzenie Niemców było raczej krótkotrwałe:

Szkice sytuacyjny

Z tygodnia na tydzień

NOWINKI POLITYCZNE

"Observer" i "Sunday Times" z dnia 20.II. powtarzają wieści jakiego pojawiły się już poprzednio na temat rozmów angielsko-polskich, pośrednictwa Churchilla i treści listu Stalina. Warunki sowieckie, powiadają wspomniane gazety, straszczą się w przyjęciu linii Curzona jako podstawy rokowań, podjęcia współpracy z armią sowiecką przez polskie siły podziemne oraz zgodę na zmiany w rządzie polskim. Strona polska, raportuje prasa brytyjska, wysuwa linię demarkacyjną, która biegnie przez miasta Lwów i Wilno i pozostawia tereny na wschód od tej linii w administracji sowieckiej. Strona polska, mówią dalej pisma brytyjskie, godzi się zasadniczo na współpracę z armią sowiecką w razie jej dalszego przenikania w tereny polskie. Opiera się stanowczo zmianom w rządzie.

Mowa premiera Churchilla, która wygłoszona być może, zanim ten przedgląd się pojawi, wyjaśni niedjono, jakkolwiek może pozostawić pewne rzeczy jeszcze w niedomówieniu. Wynika to z tego, że strona brytyjska nie chce puszczać całej sprawy na fale dyskusji.

Jakkolwiek rzeczy się mają, naciski na Polskę oraz nacisk wypadków jest taki, że zarówno ten miesiąc jak przyszedł i cała wiosna zapowiadają się jako czarne miesiące. Prasa brytyjska twierdzi, jakoby strona polska poczyniła już pewne ustępstwa i że trzeba będzie, ażeby dokonała dalszych.

Sprawa Prus Wschodnich nie przedstawia się tak różowo, jak to chcieli nasi optymiści. Strona sowiecka powiada, że Królewica ma przyspać w udziale Rosji. Polska otrzymałaby Mazury oraz Elbląg. Jest to najgorsza część Prus Wschodnich, które są w ogóle ziemią nieurodzajną, krainą stale subwencjonowaną — na długo przed pierwszą wojną światową. "Time and Tide" w nrze z dn. 19.II. powiada, że jeżeli Polska zdecydowała się na Prusy Wsch., to będzie to dar wątpliwy, albowiem będzie miała nowe tematy do wasni z Niemcami. Dodajmy, że już dzisiaj koła lewicy angielskiej atakują polski imperializm, albowiem — Rosja chce zabrać Prusy Wsch. i wydzielić część z tego ugornego kraju Polsce.

Londyn, dnia 20-go lutego 1944

ZBIGNIEW GRABOWSKI

Nowości lotnicze

Komunikat amerykańskiej H.Q. podaje wiadomości o ostatnich sukcesach amerykańskiego lotnictwa na froncie europejskim. Jest to jak gdyby zsumowanie wysiłków tego lotnictwa w okresie ostatnich dwóch miesięcy. Przytoczymy najciekawsze cyfry.

Amerykanie zrzucili w styczniu 1944 na Niemcy i we Włoszech 22.000 ton bomb oraz zestrzelili 930 samolotów nieprzyjacielskich, tracąc w tym czasie około 330 własnych, przeważnie bombardowców.

Obok walki, lotnictwo amerykańskie oddało sprawie alianckiej jeszcze jedną wielką przysługę: oto ono pierwsze, przez swe dzienne naloty na Rzeszę, zmusiło Luftwaffe do koncentracji sił obronnych na terenie środkowych Niemiec, równocześnie zmuszając te siły do stałego wysiłku bitewnego. Jest to wysoce niewygodne dla Luftwaffe, która stara się obecnie oszczędzać ludzi i materiał, choćby kosztem mniejszych sukcesów, lub wręcz niepowodzeń armii lądowej. Wpływa to z konieczności.

Stalą zmoren Luftwaffe jest groźba inwazji Aliantów na tereny zachodniej Europy: Luftwaffe wie, że czeka ją wtedy wielka i decydująca nie tylko dla niej, lecz i dla całej armii niemieckiej, bitwa powietrzna. Taką bitwą z gros sił lotniczych nieprzyjaciela będzie musiała użyć olbrzymią masę samolotów i będzie wymagać bolesnych ofiar w załogach. Jednak by je ponieść, a ponieść się musi, trzeba je mieć w dyspozycji. Tymczasem produkcja niemieckiego przemysłu lotniczego spada, spada też zarobione w latach 42 i 43 rezerwy. Co więcej: nadzieje pokładane w przedstawieniu produkcji z bombardowców na myśliwce i uzyskanie w ten sposób większej wydajności fabryk, nie spełniają się, wobec zniszczenia szeregu ośrodków produkcyjnych i montowni przez lotnictwo Sprzymierzonych. Owe dzienne oraz rosnące w siłę nocne naloty na Niemcy, zmusiły Luftwaffe do zaangażowania czynnie lwiej części swych sił obronnych jeszcze przed bitwą inwazyjną.

Amerykanie mogą sobie pozwolić na coś, co było przedtem nie do pomyslenia, a na co sobie Niemcy i dziś jeszcze pozwolić nie mogą, mianowicie na osłone wypraw bombowych przez myśliwce na dalekie odległości. Nie oznacza to jednak jedynie więk-

ciach, wbrew dotychczasowym regulom, że atakujący traci więcej, niż atakowany, może stać się także obrońcy ponadto kosztowna. Przypomnijmy sobie taktykę niemiecką w Afryce, gdy to Niemcy nie tylko dla ataku, lecz dla obrony swych pozycji angażowali przede wszystkim nurkowce. Były momenty, gdy ta taktyka dawała pewne rezultaty. Jednak okazało się z czasem, że nurkowce użyte przeciw atakującemu pod osłoną silnego myślistwa — to samobójstwo. Nurkowce zniknęły z placu boju, zastąpiły je natomiast samoloty myśliwskie uzbrojone po zęby i posiadające podwieszania dla bomb: bombardujące myśliwce.

Brytyjczycy od początku bardzo nieufnie patrzyli na nurkowce. Może nie tyle Brytyjczycy, ile Air Ministry. Air Ministry przewidywało rychły zmierzch nurkowca i broniła się rękami i nogami przed presją opinii publicznej, zasugerowanej powodzeniami niemieckimi. Air Ministry popierała ideę samolotu, placu boju, broni technicznej, broni nie tylko zdolnej do ataku, lecz także do własnej obrony. Luftwaffe długi czas trwała uparcie przy nurkowcach. Dlatego dziś Luftwaffe i na tym polu jest w tyle. Jej samoloty placu boju są raczej przeróbka pewnych czysto myśliwskich typów, nie można jednak powiedzieć, że nie udaną. Focke Wulfy stały się bardzo dobrymi myśliwcami bombardującymi i oddają duże usługi armii niemieckiej, są też bardzo groźne na skutek swej dużej nośności, przy atakach na obiekty stałe.

Wbrew wyrażonej przez nas w ostatnich "Nowościach" opinii, że Niemcy nie ujmą w ręce we Włoszech inicjatywę z powodu braku lotnictwa, Niemcy to zrobili. Przynajmniej się do omyłki. Jednak przynajmniej się z zastrzeżeniem. Dlaczego Niemcy mogli zaatakować? Okres najgorszych pogód przykuł lotnictwo alianckie do lotnisk. Niskie chmury, deszcz ze śniegiem i mgłą nie pozwoliły na wsparcie wojsk umocnionych na pozycjach przyczółkowych koło Nettuno i Anzio. Niemcy uderzyli i odnieśli niewątpliwie pewne sukcesy. Jednak powodzenie Niemców było raczej krótkotrwałe:

Wbrew wyrażonej przez nas w ostatnich "Nowościach" opinii, że Niemcy nie ujmą w ręce we Włoszech inicjatywę z powodu braku lotnictwa, Niemcy to zrobili. Przynajmniej się do omyłki. Jednak przynajmniej się z zastrzeżeniem. Dlaczego Niemcy mogli zaatakować? Okres najgorszych pogód przykuł lotnictwo alianckie do lotnisk. Niskie chmury, deszcz ze śniegiem i mgłą nie pozwoliły na wsparcie wojsk umocnionych na pozycjach przyczółkowych koło Nettuno i Anzio. Niemcy uderzyli i odnieśli niewątpliwie pewne sukcesy. Jednak powodzenie Niemców było raczej krótkotrwałe:

Wbrew wyrażonej przez nas w ostatnich "Nowościach" opinii, że Niemcy nie ujmą w ręce we Włoszech inicjatywę z powodu braku lotnictwa, Niemcy to zrobili. Przynajmniej się do omyłki. Jednak przynajmniej się z zastrzeżeniem. Dlaczego Niemcy mogli zaatakować? Okres najgorszych pogód przykuł lotnictwo alianckie do lotnisk. Niskie chmury, deszcz ze śniegiem i mgłą nie pozwoliły na wsparcie wojsk umocnionych na pozycjach przyczółkowych koło Nettuno i Anzio. Niemcy uderzyli i odnieśli niewątpliwie pewne sukcesy. Jednak powodzenie Niemców było raczej krótkotrwałe:

z chwilą, gdy pogoda poprawiła się nieco i lotnictwo znów znalazło się w powietrzu, Niemcy stracili inicjatywę. Nasza teza, że w dzisiejszych warunkach boju nie ma zwycięstwa bez silnego lotnictwa, nie doznała uszczerbku, a nawet znalazła pełne potwierdzenie w dziejach walk ostatnich o drogę do Rzymu.

Niemcy znają tę tezę bardzo dobrze. Dlatego przed organizacją kontrofensywy włoskiej starali się zorganizować próbę uzyskania choćby chwilowej przewagi w powietrzu. Ściągnięto posiłki z Niemiec oraz z terenów bałkańskich, skoncentrowano wysiłek tych jednostek lotniczych, które i przedtem były w dyspozycji Kesselringa. Odbiło się to odrazu na obronie Niemiec. Zaraz piloci amerykańscy i brytyjscy meldowali, że opór w czasie walk nad Niemcami wydaje się słabszy. Ba, kilkakrotnie nie napotkano większej liczby myśliwców i wyprawy odbyły się prawie bez strat. Z drugiej strony lotnictwo brytyjskie uzyskało od razu poważne "score" nad wyspami greckimi, zestrzeliwując sporo Junkersów transportowych.

W końcowym efekcie — Niemcy nie uzyskali przewagi w powietrzu nad Italią, gdyż zabrano doraźnie dyspozycji nie był wystarczający liczebnie, by stoczyć zwycięską walkę z lotniczymi siłami alianckimi, natomiast odosłoniли poważnie niektóre cele niemieckie i potracili sporo maszyn w Grecji. Bajka o za krótkim płaszczy jeszcze raz staje się aktualną.

Rosjanie zapowiadają w najbliższym czasie rozpoczęcie strategicznych nalotów na Niemcy. Nie możemy przewidzieć, jakie będą i w jakiej skali, gdyż dyspozycyjność ros. jest dla wszystkich, nawet najbliższych alianatów, stałą tajemnicą. Przypuszczamy jednak, że armada ciężkich bombardowców powinna być zupełnie duża. Naturalnie nie osiągnie skali brytyjskiej czy amerykańskiej, lecz będzie w każdym razie poważnym zagrożeniem dla wschodnich Niemiec, gdzie mieści się w tej chwili bardzo cenny przemyśle niemiecki, do którego wywakuowany z Nadrenii.

Przewidyujemy, że jednak niebawem nadejdzie chwila, gdy Niemcy będą pod atakiem trzech sił: tej z Wielkiej Brytanii, tej z Włoch i trzeciej rosyjskiej.

M. J. GORDON

Na jenieckim szlaku

W głąb Niemiec

Poranna zbiórka odbywała się co dnia w cieniu rozłożystych orzechów włoskich, drzew z pewnością wiekowych, które w czasie naszego przybycia do koszarowego więzienia w Strasburgu niosły już zielone paki przyszelego owocowania, niczym daleką zapowiedź jesieni. Ile razy patrzyłem na nie, stojąc rano w szeregu, na zbiórce, kiedy nas Niemcy liczyli po kilka razy, mimowoli rodziła się myśl i zapytanie — co też będzie z nami kiedy te orzechy dojrzeją i zaczną spadać? I za każdym razem odzywała się w człowieku niewyraźna, ale przecież pokutująca w głębi sumienia refleksja: niepodobieństwem jest chyba, aby to miało trwać aż do jesieni! Rozwiązanie już jest w powietrzu, rozstrzygnięcie już się szykuje, jeszcze trochę cierpliwości, a przebrniemy tę najcięższą przykróść, to zgrubienie się, tę nieobecność, dławiącą jak ucisk.

Iskrę tej nierozumnej nadziei podsycało przybycie do koszar jakiejś siwej damy, o której mówiono, że jest z Amerykańskiego Czerwonego Krzyża. W otoczeniu niemieckich oficerów i mimo ich nieustannej obecności stanowiąca przedmiot ogromnej natarczywości jenieckich pytań i zaciekawienia. Odpowiadała na nie bladym, bezradnym uśmiechem, gestami ręki, w których wyrażała się nieśmiała zachęta i wzruszona życzliwość, niby tłumiony skrepowaniem sygnał dobrego serca osoby współczującej i wrażliwej na nasz los, ale zupełnie bezsilnej. Wobec pytań, rzucanych ze wszystkich stron, a przekrzykujących się na wzajem, zdawała się być zwolniona z obowiązku odpowiedzialności na którekolwiek. Sztwni, surowi mimo uprzejmości oficerowie przy niej stanowili poza tym skuteczną tamę, o którą rozbili się próby porozumienia i nawiązania ludzkiego kontaktu z tą osobą, przybyłą z innego świata. Pozostawiła za sobą gorzki zawodu; odejście jej było ponownym zepchnięciem naszych złudzeń, naszego szaleńczego marzenia, na dno zwykłej, beznadziejnej, nie kończącej się codzienności zamknięcia.

Swego rodzaju wstrząsem w monotonię tego tła i żywota stała się dla mnie chwila kiedy na sporządzone przez starszych i t.zw. mężów zaufania między nami listy imienne, położyć trzeba było moje nowe, francuskie nazwisko. Używałem go po pierwszych trudnych chwilach przywykania, niby nie chcący, nie przysiadając dotąd pełnej wagi do tego faktu, nie odczuwając jeszcze całego ciężaru odpowiedzialności, jaki na mnie nakłada, jeszcze zawsze skłonny do zmian i szukający wybiegów albo innych dróg wyjścia z tej sytuacji, która zdawała mi się chwilami nad siły, nazbyt skomplikowana i trudna, aby ją można było rozsądnie i aż do skutku rozegrać. Następowo jednak po raz pierwszy oficjalnie przypięczone tego wyboru, od którego niepodobieństwem było by się odwrócić, ani odzegnąć. Tu, nie gdzie indziej, były raz jeszcze decydujące rozstrzygnięcia tych dróg, jakie leżały przede mną. Rozważanie ponowne wszystkich za i przeciw, podparte zdobytymi już doświadczeniami oraz niepokojącą perspektywą przyszłości niewiadomej i w gruncie rzeczy nie dobrego nie obiecującej, znowu mnie wprowadziło w rozterkę i w to poczucie niepewności, które tak męczy nerwy, głowę i serce. Gorączkowe sny ukazywały mi rzeczywistość jako koszmar, który mnie omotał, opętał i szarpie wątpliwościami.

A przecież nie ma wyboru. A przecież już się dokonała decyzja. Nie, dopóki tego nazwiska nie postawiłem na papierze wśród setek, wśród tysięcy innych nazwisk, to tak jakby się jeszcze nie stało. Ale przed chwilą właśnie wymagano ode mnie podpisu. Jakże go teraz odmówić? Trzeba było konsekwentnie wypełnić cyrograf, sprzedający duszę. Taka przecież była umowa z samym sobą. Nie pora teraz i nie tutaj miejsce, aby się jeszcze wahać albo cofać. Te listy imienne, rzecz zdawało by się normalna, ale której z początku nie wymagano wcale i nie sporządzano zupełnie, dając nas obojętnością, do której zdążyliśmy przywyknąć, te listy imienne napsuły nam dużo krwi. Gdyby nas chcieli wypuścić — mówiono — to po co im listy imienne? O tak, działało się za kulisami coś dziwnego, robili się jakieś przygotowania, dotyczące nowej przyszłości. I tylko nikomu z nas nie pozwoli-

no przeniknąć jej tajemnic. Zapytany o nie żołnierz niemiecki odpowiedział z beczelnym śmiechem: A co w a s to obchodzi? Ze niby nie nasza to sprawa co z nami będzie! Oburzyli się niejedni na to potraktowanie naszej niecierpliwości. A cóż my to — bydło z przeproszeniem?

Ale nie było ani wytłumaczenia ani zmiany tego stanowiska ze strony strażników niemieckich, którzy dobrze przecież wiedzieli, co się święci.

Wieczorem któregoś dnia gruchnęła nagle wiadomość, że nazajutrz nastąpi wymarsz. Niby to spodziewali się wszyscy, że tak będzie, a przecież przyjęto ten rozkaz do wiadomości z uczuciem pogłębionej troski. Specjaliści od przepowiedni, różdżkarze i chiromanci, jasnowidze nasi domorośli i układacze pasjansów zabrali się raz jeszcze do pośpiesznego indagowania fortuny, co też szykuje za niespodziankę. Podzielone były zdania aż do chwili, kiedy polecono nam likwidować się co prędzej, kiedy w podwórzu pojawił się wzmocniony oddział eskorty, kiedy poczęto nas przeliczać raz jeszcze tam i z powrotem, już ustawionych w rzędy, już ugiętych pod ciężarem tobolek i marzących tylko o jednym: aby nam nie kazano iść pieszo, bo tego nikt nie wytrzyma po mieściej kuracji postnej.

Słaniał się ludzie na słońcu, podtrzymywani w szeregu przez towarzyszy wśród gromkich krzyków i komend, aż wreszcie otwarto na oścież wyjściową bramę i cała ta kolumna poczęła się powoli wysuwać w pustą ulicę. Na ulicy znowu postój. Z sąsiednich koszar wyglądały przez okna liczne głowy takich samych jeńców, z zaciekawieniem patrzące co się też z nami stanie. Zaczęło się od wykrzykiwanych pozdrowień i uwag, którymi częstowali się jeńcy — ci odprawiani i ci zostający. Padaly coraz gęstsze pytania z okien i coraz

częstsze odpowiedzi z ulicy. Cicha i pusta przed chwilą, zanosiła się teraz tupotem tysięcy nóg i gwarem niezliczonych słów padających z każdego okna aż po najwyższe piętro. Przez chwilę Niemcy puścili wolne wodze tym wybuchom jenieckiej gadatliwości po wielu tygodniach odosobnienia i postu. Ale teraz już nie mogą sobie z nimi poradzić. Rozdzierający wrzask komend, wykrzykiwania groźnej i groźące, szturchańce i popychania kolumną uciszają wprawdzie szeregi stojące na ulicy, pod bezpośrednią opieką eskort, ale nic nie pomaga wyrażanie budynkom koszarowym, w których wszystkie okna rozgadane są teraz a nawet wyraźniej rozgawone bezradnością niemieckich strażników, którzy z dołu, z ulicy próbują przywrócić porządek i spokój.

—Zamykać okna! Zamykać okna! — wrzeszczy wściekły niemiecki porucznik, zadzierając głowę ku wyzywającej ścianie koszar.

Odpowiadają mu śmiechy, cierpkie, cięte uwagi tłumu, który na tę odległość pewien jest bezkarności i czuje się zbiorowo poza wszelką odpowiedzialnością. Nie wytrzymał rozdrażniony Niemiec, już za późno teraz zamykać okna, łomocą między budynkami ostre pogłosy wystrzałów, świszczą jak uderzenia bicza, pryskają gzymsy i odłupane cząsteczki cegieł — w oknach znikają głowy od razu, koszarzy zdają się puste, kolyszą się tylko na zawiasach niedomknięte połowy okien. Jest nagle cicho jak makiem zasiał i tylko w drzącym i jeszcze jakby ogłuchłym od strzałów powietrzu rozlegają się dzikie, ochryple krzyki oficera, który triumfująco i wściekle łączy ten milczący budynek koszarowy, który śmiał mu się wszystkimi swymi oknami i całą ludzką zawartością przeciwstawić.

—Ja wam pokażę! Ja was uspokoję! Ja was nauczę dyscypliny — piorunuje resztkami oburzenia,

podczas gdy jego żołnierze szczękają złowrogo zamkami karabinów, aby pokazać nam, że są naładowane na ostro. Karabiny maszynowe ustawione na rogach ulic już teraz nie mają na sobie pokrowców, błyskają z daleka na swoich podstawkach nieprzyjemną gotowością skierowanych ku nam łuf.

Wtuliliśmy głowy w ramiona i każdy na swój sposób uszy położył po sobie — niepodobna wyrazić wściekłości ani gorczy, jakie ta scena w nas budzi. Dają nam znowu szkostować tej bezradności, jaka przesycę życie jeńca, człowieka bez prawa protestu, bez możliwości oburzenia się na cokolwiek, podanego wszystkim kaprysom zbrojnej przemocy wroga. Ot, bydło właśnie, popędzane na drodze, którą ruszyła kolumna.

Dopiero na przedmieściu, wśród domów coraz rzadszych a coraz częstszych ogrodów i wreszcie pól i wreszcie szerokości i dali, szumiącej zapachem bliskich zniw i lipcowej kwitnienia, dopiero teraz nam, zamkniętym przez kilka tygodni w dusznej ciasności koszar, otworzyły się znowu myśli na czar wolnego świata, o którym kazano nam zapomnieć. Ach, jak dobrze czuć znowu na twarzy pachnący powiew wiatru, jak dobrze oddychać ogrodem i szumem przestrzeni polnej, jak odżywczo i kojąco działa na cały organizm, wyczerpany oczekiwaniem, ta zewnętrzna bujność życia, od której w głowie się kręci, która męży wzrok i upaja myśli. To właśnie jest treść swobody — tak się nam zdaje przez chwilę i takim zapomnieniem rzeczywistości żyje i odczuwa głęboko maszerująca kolumna.

Ale zmęczenie wnet bierze górę. Nie, nie podobna długo tak iść — to już przecież nie ci sami ludzie, których wzięto w Wogezach najedzonych, wycoczonych właściwie po całych dniach błędzenia i spania po lasach, a w każdym razie

w pełni tego fizycznego treningu, jaki daje każdemu front, walka, wojna. Ci ludzie wloką się już tylko resztką wytrzymałości i woli, pozbyli się energii i fantazji w przymusowym swoim mieszkaniu pod strażą, w ciągu tygodni niedoładania, w przynębiającym okresie bezczynności, tego najgorszego gatunku lenistwa bez wygod i bez wypoczynku. Ci ludzie pragną teraz już tylko dotarcia do jakiegś mety, wszystko jedno gdzie i jaka będzie.

Z kierunku świata i znajomości podmiejskiej okolicy Strasburga ci i owi próbują wyciągnąć wnioski, dokąd prowadzi ta droga. Czy do Francji? — czy wzdłuż Renu tylko, a drugą stronę, na tę stronę beznadziejną i przerażającą, która grozi nam od wielu dni wciągnięciem jak potrzask i pułapka, wchłonięciem jak przepaść, kiedy zginą i znikną ostatnie perspektywy ratunku.

Wyjaśnia się nagle sytuacja. W pierwszych szeregach, które skręciły w boczną drogę już się szepot roznosi i przenika coraz głębiej w szeregi, a i widok teraz przed nami potwierdza magiczne słowo, rzucone z czoła kolumny: pociąg. W szczerym polu na jakimś bocznym torze stał ten pociąg, złożony z kilkudziesięciu towarowych wagonów, stał ten pociąg — czekający na nas. Zatrzępotały się niejedne serca, w niejednych głowach zapaliły się znowu straszne wątpliwości, równoważące ten jakiś przeblisk szaleńczego złudzenia, które się w myślach jeńca łatwo lęgną i rozrastają nieraz nieodpowiedzialnie, a przecież tak bardzo, tak bardzo pobudzające.

Ustawiono nas frontem do wagonów, wagony są bydlęce, 8 koni albo 40 ludzi. Podzielono na grupy tych właśnie 40 ludzi — na rozkaz każą wdrapywać się do owych ciemnych, cuchnących nawozem przedziałów, gdzie przed nami chyba doprawdy było właśnie osiem koni. Zapchali do każdego tych czterdziestu i jeszcze paru maruderów nadprogramowych i jeszcze po trzech żołnierzy eskorty. Ciasno w przedziale, twardo na brudnych deskach. Przykucnąwszy albo zgięta siedząc, nog tu nawet wyciągnąć nie sposób, bo po nich chodzą inni. Ścisk największy przy tych szparach zakratowanych, które zastępują okna. Pociąg stoi. Żeby tak już pojechał. Nieznośne jest czekanie w tej sytuacji.

Uśmiechają się żołnierze Niemcy zasypywani znowu pytaniami o kierunek i cel tej jazdy. Pojedziecie do pięknego kraju — mówią. — Do Niemiec — mówią. — Na robotę — powtarzają. — Będziecie mieli co jeść u chłopów — śmieją się. Sami pewno chłopcy w cywilnym życiu. Wiozą robotnika swoim ludziami. Wiozą ten żywy łup — oni, żołnierze i zwycięzcy. Maluje się na ich twarzach zadowolona beztroska, maluje się dumą i przyjemnością w sprawowaniu tej służby.

Strasliwy jest rozdźwięk uczuć między nimi i nami w tej chwili. Przepaść nie do przebycia. Różnica nie do zatarcia. Jej miarą jest tylko nasz ścisk serca, lekkie nudności łęku, jakie chwilami szarpia wnętrzościami, drobne dreszcze niepokoju, gdy się przemija przez głowę i pierś uczucie zakłopotania, bezradności, jakby powiewem czyhającej zguby. Cała zewnętrzność życia, te cztery ściany wagonu, w których siedzimy i światło cedzone przez szparki, dozowane skąpo i zazdrośnie dla tych ludzi spragnionych przestrzeni, zapach zwierzęcy, którym jezie to nasze zamknięcie, postacie niemieckich żołnierzy i ich krzyki wzdłuż pociągu — to wszystko wydaje się teraz zmysłom moim dalekie, nierzeczywiste. Istotna jest tylko świadomość zapadania klamki, zapadania decyzji przeznaczeń, która mnie skazała na wywiezienie do Niemiec i wyrok właśnie wypełnia.

Rozważałem sobie tę możliwość już nieraz, zawsze jednak na samym dnie duszy przekonany, że się jej wymknę skutecznie, tak jak to z śmiercią lub ze starością bywa. Zda się człowiekowi do kofca, że i starość i śmierć innych dotyczy jedynie i innym grozi, że natomiast jest niepodobieństwem, aby miała jego samego spotkać.

Tu się mieści źródło przerażenia — w chwili, gdy sobie przyjdzie uswiadomić nagle, że samemu pada się ofiarą przeznaczeń rezerwowanych w myśli i świadomości najczulszej bliżnim, innym, nie sobie.

Polscy kommandosi walczą

We Włoszech, styczeń 1944 r.

Ostatnio ujawniono, że na froncie włoskim walczy oddział kommandos polskich. Obecnie możemy podać pewne szczegóły tych walk.

Oddział kommandosów polskich przybył do Włoch pod koniec ubiegłego roku. Pierwsze dni oddział ten spędził w strefie przyfrontowej przygotowując się ostatecznie do oczekujących go działań bojowych. Po 10 dniach oddział kommandosów przesunięty został na odcinek frontu zajmowany przez korpus brytyjski, a znajdujący się w górzystej części terenu nad rzeką S. Wybrano odcinek odpowiedni dla pierwszych działań oddziału tak, aby mógł on nabrać doświadczenia bojowego w czynnym patrolowaniu i przenikaniu w linie nieprzyjacielskie. Oddział polski podlega obecnie bezpośrednio pułkowi rozpoznawczemu dywizji brytyjskiej i razem z nim prowadzi działania.

Teren jest bardzo trudny: bezdrożne i urwiste góry do wysokości 5.500 stóp. Klimat zimny i suchy gdy pogoda ładna, lecz wilgotny, gdy chmury opadają nisko, co w obecnej porze roku ma najczęstszej miejsce. Widoczność jest ograniczona normalnie do 30 jardów, lecz z chwilą, gdy chmury na chwilę ustąpią otwiera się daleki widok na 10 — 15 mil. Rzeka S. nie jest wezbrana, ale dość głęboka i o gwałtownym nurcie. Na froncie działania oddziału polskiego nie ma na rzece mostów.

Wszystko w ruinach, gdyż zostały one systematycznie zniszczone przez Niemców przy wycofywaniu się, aby uniemożliwić Sprzymierzonym korzystanie z nich jako kwatery zimowych. Podobnie poniszczono drogi. Cały ruch odbywa się wyłącznie pieszo. Oddział polski w ciągu tygodnia pobytu na linii wykonał wiele patroli na drugą stronę rzeki i miał sporo utarczek z nieprzyjacielem. Trudno omówić wszystkie te działania w krótkim komunikacie. Ograniczymy się do charakterystycznego opisu jednego z nich.

Już pierwszej nocy po zajęciu odcinka Polacy patrolowali rzeke z zamiarem wyszukania przejścia dla działań nocy następnej. Chodziło specjalnie o przetrząśnięcie zabudowań po drugiej stronie rzeki. Wiedzieli, że są one zajmowane przez Niemców w czasie niektórych nocy. Rozpoznając brzegi, patrol wykrył nieprzyjacielskie miny szrapnelowe po drugiej stronie rzeki. Ze względu na duże niebezpieczeństwo patrolowania w nocy w terenie pokrytym minami, dowódca oddziału zdecyd-

wał przeprowadzić rozpoznanie za dnia.

Następnego dnia popołudniu dowódca polski osobiście poprowadził patrol na znaczną odległość w głąb terenu poza rzeką i przeszedł większość zabudowań. W czasie tego działania patrol otrzymał ogień z jednego z budynków. Nastąpiła ostra wymiana strzelów. Polacy skierowali swój ogień na drzwi i okna budynku tak, że Niemcy zostali unieruchomieni. Wzięcie jednak szturmem domu w terenie otwartym i za dnia było przedsięwzięciem zbyt ryzykownym, zwłaszcza, gdy brak było odpowiedniej broni do zburzenia ścian domu.

W czasie tego spotkania jeden z Polaków został rannym w nogę. Dowódca oddziału wraz z innym żołnierzem podczołkali się w otwartym terenie do rannego i wynieśli go poza zasięg broni nieprzyjacielskiej — pozycję patrol powrócił.

Jedną z następnych nocy patrol nieprzyjaciela wszedł do nas w naszym przedpolu. Czujka polska skierowała swą broń na zbliżających się Niemców. Nastąpiła wymiana strzelów. Wybiegli ludzie z placówki. Niemcy uszli. Po stronie polskiej jeden żołnierz został lekko rannym w ramie. Niemcy, jak nazajutrz stwierdzono przez ludność włoską, mieli jednego zabitego i dwóch rannych.

Niebawem doszło do większej akcji całego polskiego oddziału kommando. Pewnego dnia, w końcu ubr. o godz. 5-tej po południu przybył do kwatery polskiej włoski cywil. Podał on, że trzy dni temu Niemcy zatrzymali go po drugiej stronie rzeki i wypytywali o szczegóły ugrupowania polskiego oddziału. Mówił on, że słyszał o zamiarze ataku oddziału niemieckiego w sile około 200 strzelców górskich na miejscowość N., celem zniszczenia brytyjskich dział połowych znajdujących się w tym rejonie. Oddział atakujący ma rzekomo przekroczyć rzeke pod miejscowością M. w godzinach wieczornych tegoż dnia. Wspomniał informator o otrzymaniu rozkazów słuszenia Niemcom za przewodnika. Podał on dodatkowo, że widział 8 autobusów załadowanych strzelcami górskimi. Opowiedział on również o rozpoznaniu oficerskim, które widział na wysuniętym stoku góry po stronie nieprzyjaciela.

Trudno było stwierdzić, czy wszystkie te informacje były prawdziwe. Brzmiały one jednak prawdopodobnie, wobec tego artyleria brytyjska w rejonie N. otrzymała rozkaz ostrzeżenia przejść na rzece S. około miejscowości M. w godzinach wieczornych. Nakazane zostało specjalne po-

gotowie w ciągu całej nocy. Wzmocniono czujki, posterunki i zarządono pogotowie odwodów.

O godzinie 8-iej wieczorem oddział polski zaatakował wzdłuż wschodu przez dwie grupy niemieckie, każda w sile około 40 ludzi. Trzy kwadransy później inny oddział niemiecki, w przybliżeniu tej samej wielkości, rozpoczął atak na nasze pozycje od strony zachodniej. W następstwie Polacy zostali otoczeni i do odroczy odparcia ataku przeprowadzone z różnych stron. W ciągu tego czasu artyleria brytyjska, zgodnie z rozkazami, przeprowadza koncentrację ognia na przejścia przez rzekę pod miejscowością M. O północy akcja zamiera.

Nad ranem jednak Niemcy wznowiają swe ataki. Polacy nie ustępują, wspierani przez artylerię. Po dalszych dwóch godzinach walk Niemcy nie nie wskórawazy, wycofują się. W ślad za nimi idą nasze patrole. Nadchodzi również szwadron odwodowy brytyjskiego pułku rozpoznawczego, który przyłącza się do akcji przeszukiwania brzegów rzeki. Niemców nie ma.

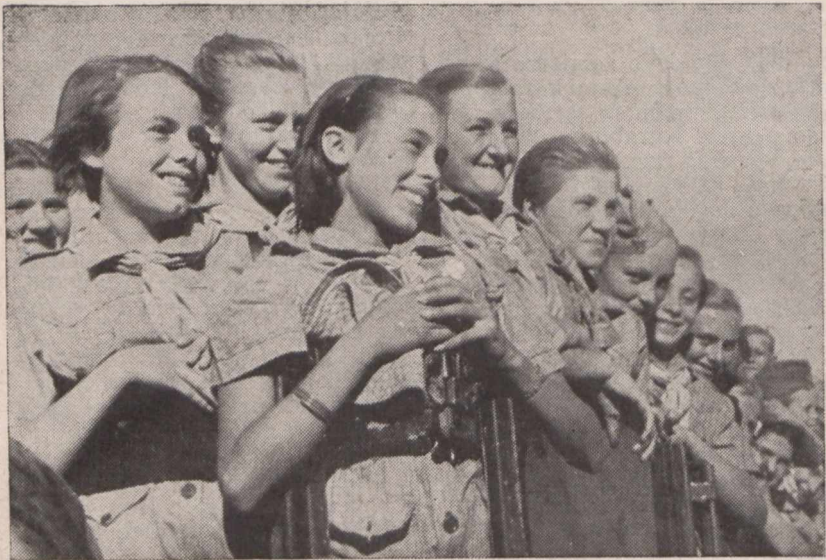
Stalo się oczywiste, że nieprzyjacieli nie podejrzewal przyjęcia, które to spotkanie. Liczył on zapewne na łatwy sukces i zawiódł się. Polacy wytrzymali siłami znacznie słabszymi w ciągu dziewięciu godzin gwałtowne uderzenia niemieckie, ponosząc straty trzech lekko rannych. Niemcy wycofując się unieśli swoich zabitych i rannych, liczby więc ich nie można było ustalić.

Oddział kommandosów polskich walczących we Włoszech został sformowany swego czasu w Wielkiej Brytanii i przeszedł tu specjalne wyszkolenie. Dowódcą tego oddziału jest oficer polski, który walczył w kampaniach wrześniowej i francuskiej, uzyskując Srebrny Krzyż "Virtuti Militari".

Polscy kommandosi walcząc przeciwko Niemcom zyskali już sobie uznanie dowódcy oddziałów Kommando, generała brytyjskiego, który ich scharakteryzował następująco: "Żołnierze polscy okazali się wspaniałymi bojownikami. Zdobuli oni sobie poważanie i podziw żołnierzy pułku rozpoznawczego, z którymi współpracowali oraz generała dowódcy dywizji."

Dowódca dywizji brytyjskiej nazajutrz po wyżej opisanej walce, przesłał do dowódcy polskiego kommando list napisany po polsku, w którym gratulował ich obrony.

POLSKIE DZIECI NA T



Dziewczeta polskie w Bombaju

Dwie są podobno najczystsze i najpiękniejsze rzeczy na świecie: błękit pogodnego nieba i oczy dziecka. Bo serce ludzkie, ta najcudowniejsza lampa, jaką Stwórca zapalił na ziemi, prześwieca bezpośrednio tylko przez oczy dzieci i świętych. My, ludzie zwykli, chowamy serce głęboko, aby nikt nie domyślił się, ile w nim niezasklepiionych ran, a dla świata przestaniemy oczy nasze zdawkowym, uprzejmym uśmiechem.

Dla mnie — jasne oczy polskiego dziecka, z główką jak len i buzią uśmiechniętą do całego świata, piękniejsza są nawet od błękitu niebios. I gdy w tych oczach zobaczę strach, żal lub bezsilną prośbę, zdaje mi się wtedy, że ktoś brutalną ręką ścisnął moje serce i wtłacza mi je do gardła.

Pamiętam takie oczy pełne bezsilnej żalności. Pamiętam, jak dziś. Mrok kładł się już na śniegu, pod stacją kolejową czerniał tłum kobiet i dzieci, a nas wiedziono pod bagnietami, by załadować w bydlęcy wagon i powieźć na wschód. Dzień był pierwszy stycznia 1940 roku — miejsce: Skole. Szedłem z boku szeregu. W tłumie czaił się powstrzymany szloch. Stanęliśmy na moment. Odwróciłem głowę i starałem się uśmiechnąć. Nie wyszło.

Ale wtedy oczy moje spotkały się z oczyma malej, może ośmioletniej dziewczynki. Dziecko trzymało w ręce kawałek chleba. Rączka wyciągnęła się do mnie, oczka były otwarte szeroko, boleśnie. Wyciągnąłem i ja rękę i — niespodziewanie dla samego siebie — udało mi się uśmiechnąć. Ośmielając, trochę zuchowato, prosto w te biedne oczy. Ale szereg ruszył. Między mną i dzieckiem stanął żołnierz i zakomenderował "wperiod."

Dziewczynka wyrwała się z tłumy i zaczęła biec za mną. Z oczyma utkwionymi w moje, z wyciągniętą rączką. Żołnierz przegradzał nas ciągle. Usłyszałem głos dziewczynki: "Proszę pozwolić, ja tylko dam chleb". Błagalny, dziecięcy głos. Żołnierz odpedzał ją, ale robił to jakoś nieśmiało i łagodnie. Powtarzał: "Nie lizia." Tak doszliśmy do wagonu. I wtedy żołnierz ogładnął się na oko i odstąpił. Dziewczynka przyskoczyła do mnie. Bezsilna żalność w jej oczach ustąpiła na sekundę uśmiechowi ulgi. Wziąłem chleb i przytrzymałszy na moment jej zbiegniętą rączkę w dłoni powiedziałem: "Dziękuję Ci, kochanie. Jak Ci na imię." Odpowiedziała: "Krzysia." Żołnierz ogładnął się i widząc, że już po wszystkim, burknął: "Nu, dowolno." Ostatnie spojrzenie — dziewczynka zniknęła w tłumie.

Krzysiu, dzielna, mała Polko, Tobie poświęcam ten artykuł. Może i Ciebie wywieziono do Rosji, jak tyle innych polskich dzieci. Może los był łaskawy dla Ciebie i jesteś teraz gdzieś na szerokim świecie, pomiędzy jedynymi polskimi dziećmi, o których można powiedzieć, że są bezpieczne od głodu, ognia i wojny. Chcę w to wierzyć, pisząc o tych właśnie dzieciach. Pisząc, będę musiał być suchy i rzeczowy. Będę musiał dawać cyfry, nazwy, statystyki. Ale za każdą cyfrą i nazwą będzie tkwiła myśl: może ty właśnie tam jesteś, dzielna, mała, kochana Krzysiu.

DWIE FALE

Wśród czterdziestu kilku tysięcy cywilnej ludności, wyewakuowanej z Rosji, znajduje



Pierwszy etap dożywiania

się do czterdziestu tysięcy dzieci i młodzieży poniżej lat 16-tu. W tym sporo sierot zupełnych lub częściowych. W ogóle rozbite rodziny wśród wyewakuowanej ludności należą do reguły, nie do wyjątków. Powodem tego są nie tylko zgony — chociaż epidemie tyfusu w południowej Rosji zdziesiątkowały bezsprzecznie naszą wycieńczoną ludność. W daleko większym stopniu działały przyczyny następujące.

Pierwsze fale aresztowań w okupacji sowieckiej objęły przede wszystkim mężczyzn: ojców, braci i synów polskich rodzin, którzy bądź to brali udział w życiu politycznym lub nawet tylko społecznym, bądź to byli urzędnikami, zwłaszcza sędziami, lub po prostu tylko byli zbyt patriotycznie nastawieni. Rodziny ich, jak również i rodziny jeńców wojennych pozostały z początku na miejscu. Ale pozostała na miejscu rodzina stanowiła ośrodek wspomnień, była przedmiotem współczucia. Wobec tego, gdy uporano się z elementem aktywnym, przystąpiono do masowego wysiedlania tych rodzin na t.zw. "specpieriesielenie," głównie do Kazachstanu i republik okolicznych. Z punktu widzenia czysto sowieckiego interesu może to dać się jakoś usprawiedliwić. Z punktu widzenia ogólnoludzkiego — mój Boże... czyż potrzeba komentarzy?

To była pierwsza fala uderzająca w rodziny. Zresztą, jeśli nawet aresztowano męża i żonę razem, wysyłano ich z reguły do różnych obozów pracy.

W dwa lata mniej więcej po pierwszej fali aresztowań zawarty został traktat polsko-rosyjski. Masy zwolnionych z więzień, obozów pracy i "pościolków" zaczęły płynąć na południe Rosji. Część mężczyzn w wieku poborowym poszła wprost do organizującej się armii polskiej. Reszta przede wszystkim do kolchozów. Część rodzin zdołała się w tym okresie dowiedzieć o sobie na wzajem. Mały procent zdołał się połączyć. Ale zato wielu mężczyzn, którym udało się razem ze swymi rodzinami pojechać na "specpieriesielenie," a zwłaszcza chłopców w wieku 16-18 lat, rozstało się w tym okresie ze swymi rodzinami, by wstąpić do wojska lub junaków.

W początku kwietnia 1942

nastąpiła pierwsza faza ewakuacji wojska polskiego z Rosji, w początku lata drugiego. W zasadzie miały z nimi wyjechać ich rodziny, których liczbę ograniczono do czterdziestu tysięcy ludzi na ogólną ilość około 80 tysięcy żołnierzy i oficerów. Ale terminy ewakuacji były ograniczone, rodziny daleko lub niewiadomo gdzie. Komunikacja więcej, niż trudna w ogóle, miejscami beznadziejna. Niektóre partie ludzi szły piechotą na dużych przestrzyniach.

Typowym przykładem jest ośmioletni chłopczyk, niosący na plecach swoją małą kilkunastomiesięczną siostrzyczkę, który szczęśliwie doznał na punkt zborny i zdołał się wydostać wraz ze swym drogim ciężarem do Indii. Oficer angielski "on special duty" przyjmujący polskie dzieci z ramienia Rządu Indyjskiego, nazywa tego chłopczyka bohaterem. Takich małych bohaterów i bohaterki było więcej.

Wszystko to sprawiło, że by



ewakuowanych — wyjechały częściowo rodziny inne, zamiast właściwych rodzin polskich.

To była druga fala rozbicia rodzin polskich.



W jadalni obozu nr. 2 pod Teheranem

INDIE

Sprawa przyjęcia polskich dzieci przez Indie zapoczątkowana została oficjalnie w indyjskich sferach rządowych telegramem Sekretarza Stanu do Wicekróla Indii w październiku 1941 r. Perwotny pomysł rozmieszczenia dzieci na czas wojny u rodzin angielskich w Indiach ostatecznie skryształizował się w postanowieniu, aby ich nierozdzielać i wybudować dla nich osobne osiedle.

W styczniu 1942 Rząd Indyjski udzielił pozwolenia na wjazd do Indii 500 polskich dzieci z Rosji wraz z odpowiednią liczbą dorosłych opiekunek i lekarzy. Maharadża Jam Saheb ofiarował miejsce w swej nadmorskiej posiadłości Balachedi w Kathiawar i rozpoczęto budowę osiedla. Na pierwsze koszty przyznano z Funduszu Celów Wojennych — War Purposes Fund — Wicekróla Indii kwotę 50,000 rupii. Dalsze środki finansowe dał już Rząd Polski.

Pierwsza partia dzieci składająca się z 90 dziewczynek i 71 chłopców z 11 opiekunkami i księdzem przyjechała — po zatrzymaniu się w Meshedzie, Persja — na granicę indyjską w dniu 9 kwietnia 1942. Na stacjach przyjmowano je mnóstwem je-

denia, owoców, dawano zabawki. Było to strasznie miłe, ale dzieci objadały się po długotrwałej głodówce tak fantastycznie, że po nocach musiano wzywać lekarzy. Stan psychiczny dzieciaków był doskonały. Dużo gorszy był stan zdrowia. Badanie lekarskie przeprowadzone w Bombaju wykazało:

20 przypadków suchot

11 przypadków koklusu

41 ostrego zapalenia migdałków, wymagającego natychmiastowej operacji

44 parchów i innych chorób skórnych.

A więc na 161, dzieci było 116 chorych...

Następna partia 220 dzieci z 17 opiekunkami przybyła na granicę Indii w sierpniu 1942. W czerwcu tegoż roku Rząd Indyjski zgodził się przyjąć dalsze 500 dzieci i pomieścić cały ten tyśiąc w Jamnagar-Balachedi. W kilka miesięcy później zgodzono się na wpuszczenie do Indii dalszych 10,000 dzieci z Rosji.

Niestety Rząd Sowiecki nie dał swojej zgody. Potem nastąpiło zerwanie przez Sowiety stosunków dyplomatycznych z Polską i nadzieja wydostania dzieci stała się znikoma. Zdołało się przedostać do Indii zaledwie tyśiąc...

Po przeniesieniu około 1,500 dzieci z Teheranu do Indii, jest ich tam w obecnej chwili 2461. Rozmieszczono je w czterech ośrodkach, a mianowicie: w Kohlspar, gdzie zorganizowano dla nich dwa przedszkola, dwie szkoły powszechne i jedno gimnazjum; w Jamnagar, gdzie istnieje przedszkole i szkoła powszechna; w Karachi, gdzie w obozie przejściowym uchodźców kierowanych do innych terenów prowadzi się przedszkole i dwie szkoły powszechne. Poza tym chore dzieci i przebywające na rekonwalescencji zgrupowane są w ośrodku uzdrowiskowym Panchgani.

Przed rokiem właśnie widziałem roześmiane dziecięce zastępy przekraczające granicę w drodze do Indii, które wydawały się im krainą czarów. W oczach ich widniała wizja Wielkiej Przyszłości.

w Ispahanie. Jest ich razem przeszło 4,000.

W Teheranie jest w tej chwili 2840 dzieci przy czym wszystkie są objęte szkołą powszechną lub średnią. Działają tam dwa gimnazja dla dziewczynek i dwa koedukacyjne. Jest jedno liceum i szkoła handlowa dla dziewcząt.

Oczywiście, proszę sobie nie wyobrażać, że szkoła, to znaczny piękny budynek, w którym dzieci siedzą w schludnych ławkach. Dają się one urzędywistnie na razie w minimalnym procencie. Szkoła, a raczej nauka szkolna, odbywa się w barakach. Dzieci siedziały do niedawna jeszcze na cegiełkach a zeszyty trzymały na kolanach. Dziś sytuacja poprawiła się już, ale ciągle daleka jest od ideału.

Drugim wielkim skupiskiem dzieci polskich jest Ispahan, w którym znajduje się obecnie 1409 dziewczynek i chłopców. Propozycja pomieszczenia naszych dzieci w Ispahanie wysłała najpierw od anglikańskiego biskupa Ispahanu, który ofiarował pomieszczenie na kilkaset dzieci. Papieski delegat ofiarował miejsce we francuskich misjach katolickich dla dalszych dzieci i z taką samą propozycją wystąpił jeden z perskich księży, odstępując na ten cel część swego pałacu. Rząd Polski wynajął później szereg domów rozrzuconych po całym Ispahanie — ślicznym i pełnym zieleni mieście i w nich mieszczą się internaty i szkoły.

Dwa zakłady dla dzieci poniżej lat sześciu obejmują około 200 dzieci, z których 80% jest zupełnymi sierotami. Oprócz szkół powszechnych są dwa gimnazja dla dziewcząt i jedno dla chłopców, szkoły handlowe i przemysłowe, w których uczą się rytownictwa, introligatorstwa, tkania dywanów, stolarstwa, gospodarstwa domowego i szycia.

Warunki mieszkaniowe dzieci w Ispahanie są lepsze, niż w Teheranie. Wyżywienie jest również obfitsze, chociaż nie można go nazwać złym i w Teheranie. Specjalne kwoty są przeznaczone na dodatkowe dożywianie dzieci, które na ogół ciągle odczuwają jeszcze następstwa poprzedniego okresu życia.

PALESTYNA

Dzieci polskie, których znajduje się obecnie w Palestynie około 3,000 przybyły tam razem z polską armią wyewakuowaną z Rosji. Są to w ogromnej większości junacy i junaczki, którzy mieszkają w koszarach wojskowych /barakach/, i których wychowanie połączone jest równocześnie z przysposobieniem wojskowym. Szkoły junackie rozsiane są po całej Palestynie a mianowicie:

Junacka młodsza szkoła powszechna w Nazarecie, 367 chłopców.

Junacka starsza szkoła po-

Mali towarz...



Dziś myśl moja biegnie do nich znowu.

Haneczko i Zosiu, drogie moje male przyjacielki, czy pamiętacie jak was usypiałem bajeczkami w Kujbyszewie. Zygmysiu, kochany i dzielny, pamiętasz jak planowaliśmy w Teheranie, że pojedziemy razem samochodem przez Afrykę.

Dziś jesteście wszyscy w Jamnagarze. Rano stajecie wszyscy w szeregach i nad głowami waszymi wywija na maszt amarantowo-biała polska flaga. I łopocze tak w podmuchach indyjskiego wiatru od morza przez dzień cały, patrząc z góry, jak się uczycie, jak się bawicie (czy mały piesek, którego wam dałem w Mechedzie, jest jeszcze z wami?) i patronuje wam aż do wieczora, by spytać znow w dół w promieniach zachodzącego słońca przy waszym wieczornym apelu...

Prosilicie, żeby o was pamiętać — nie zapomniałem. Nie zapominałcie i wy — aż do spotkania w Polsce. Oby jak najprędzej.

PERSJA

Do Persji przyplęły dzieci polskie przez Port Pahlevi nad brzegiem Morza Kaspijskiego, razem z falą ewakuowanych. Rozmieszczono są obecnie w dwóch wielkich grupach w Teheranie i

TUŁACZYCH SZLAKACH

wszechna w Quastina, 361 chłop-
ców.

Szkoła powszechna młodszych
ochotniczek w Gedera, 88 dzie-
wcząt.

Szkoły średnie ogólno-kształ-
cące:

Junacka szkoła kadetów — spe-
cjalne przysposobienie wojskowe
w Quastina, 585 chłopców.

Gimnazjum i liceum młod-
szych ochotniczek w Rehovot, 346
dziewcząt.

Szkoły zawodowe obejmują
przedmioty ogólno-kształcące na
poziomie V i VI klasy powszech-
nej, a mają za zadanie przygo-
tować ślusarzy, kowali, elektro-
techników, spawaczy, blacharzy,
mechaników precyzyjnych i t.p.

Nauka przedmiotów ogólno-
kształcących jest udzielana
przez nauczycieli polskich w wy-
miarze 4-5 godzin dziennie, a
przeszkolenie zawodowe odbywa
się w warsztatach angielskich
pod nadzorem polsko-angielskim.
Takie szkoły mieszczą się w Beith
Nabala, w Sarafand, pod Haifa.

Prowadzi się również jednoroc-
zny kurs spółdzielczo-handlowy
dla młodszych ochotniczek po-
łączony z nauką ogrodnictwa,
w Gedera.

Należy zaznaczyć, że przed przy-
byciem do Palestyny junaków,
ewakuowanych z Rosji, istniało już
w Tel-Aviv gimnazjum, liceum,
szkoła powszechna i przedszkole.
Obecnie do tych szkół "cywil-
nych" dołączyły się 3 szkoły
żeńskie w Ain-Karem: gimna-
zjum, szkoła powszechna i przed-
szkole. Ilość młodzieży w tych
wszystkich szkołach "cywilnych"
wynosi 266.

Dla młodzieży dotkniętej jag-
licą zorganizowane są trzy osob-
ne klasy odizolowane.

Specjalnie trzeba poruszyć
sprawę młodzieży żydowskiej.
Ponieważ Rząd Sowiecki zajął
stanowisko, iż dzieci żydowskie
nie mają obywatelstwa polskiego,
było wiele kłopotu z wydosaniem
ich z Rosji. Ostatecznie wydo-
stano 720 dzieci żydowskich do
Persji. Na życzenie Agencji
Palestyńskiej Rząd Polski zgo-
dził się przetransportować je do
Palestyny i oddać ich wychowa-
nie w ręce żydowskie.

I tutaj zaczęły się kłopoty z
transportem. Dzieci polskie
jechały z armią polską do Pales-
tyny przez Irak. Rząd Iraku
bardzo ostro zaprotestował prze-
ciw przemycań w ten sposób
dzieci żydowskich—o mało nie
doszło do dyplomatycznego prze-
silenia. Wiadomo, że Arabom
zależy na tym, żeby w Palestynie
było jak najmniej Żydów, a tu
Polacy zaczynają ich przewozić
cichcem przez ich własne tery-
torium. I to ci sami Polacy, któ-
rych się w świecie anglo-saskim
podejrzewa o antysemityzm...
Zrobił się wielki kram i w końcu
trzeba było żydowskie dzieci
przewieźć okrętami przez Zatokę
Perską, Morze Arabskie i Morze



Czerwone wprost do Palestyny.
Tam Rząd Polski dopłaca na
każde żydowskie dziecko kwotę,
jaką przeznaczają się na dzieci pol-
skie w Teheranie, a nadwyżkę—
bo w Palestynie jest drożej—do-
płaca Agencja Palestyńska.

Tak przedstawia się sprawa
żydowskich dzieci wyewakuo-
wanych z Rosji, która w świecie
arabskim zrobiła nam markę za-
pamiętałą filosemitów.

EGIPT

Szkoły w Egipcie są tego
samego typu, co w Palestynie i
zostały tam przeważnie niedawno
przeniesione z Palestyny. Obe-
mują one w sumie 844 dzieci.

A więc jest gimnazjum
mechaniczno-lotnicze przy war-
sztatach R.A.F.-u pod Kairem,
junackie szkoły mechaniczne
przy warsztatach angielskich w
Tel-el-Kabir i junacka szkoła
łączności w obozie wojskowym w
Mena pod Kairem.

AFRYKA

Afryka to największe skupi-
sko polskiej ludności wyewakuo-
wanej z Rosji a zarazem naj-
większe skupisko polskich dzieci,
bo jest ich tam około 6,000.

472 dzieci znajduje się w
Afryce Południowej, gdzie je wy-
slano na zaproszenie tamtej-
szego Rządu i pomieszczono w
Oudthoorn. Mam przed sobą
świeżo otrzymaną statystykę ich
stanu zdrowia, która jest wy-
mownym przykładem jak naszym
dzieciom posłużył pobyt w Rosji.
Spośród tych dzieci jest chorych:

na anemię 104

na gruźlicę zaawan-
sowaną 172

na gruźlicę w
stanie początko-
wym 5

na malarię 178

razem chorych ... 459

A wszystkich jest czterysta sied-
demdziesiąt dwa.

O Krzysiu, czyżbyś ty była w
Oudthoorn... Dlaczego nie
spytałem o twoje nazwisko...

Od lutego b.r. zaczęły naply-



Dzieci wracające ze szkoły w Massindi

wać partie uchodźców polskich
do obu Rodezji, Północnej i Po-
łudniowej, obszarów dosko-
nalych pod względem klimatycz-
nym (w zimie bywa tam nawet
szron), przypominających pod
tym względem lato w podgór-
skich okolicach Polski, zwłaszcza
jeśli idzie o Rodezję Południową,
gdzie choroby tropikalne, a zwa-
szcza malaria, należą do rzad-
kości. W tej chwili jest na
obszarze obu Rodezji około 2,500
uchodźców, w czym około połowa
dzieci do lat 16-tu.

Warunki naszej ludności na
tych obszarach są pomyślne,
zwłaszcza pod względem mies-
zkaniowym (trwale murowane
domki). Podkreślić trzeba, że
partie ludności, które przy-
jechały w te okolice, zabrały się
do zorganizowania osiedli w tem-
pie po prostu amerykańskim,
wzbudzając duże uznanie wśród
Anglików. Bo my to już jesteśmy
tacy... Jak dużo roboty i nie-
codzienna, to ją robimy dosko-
nale, zwłaszcza jeśli to jest w
obym środowisku, a jak przy-
chodzi do codziennej pracy,
której efektów doraźnie albo nie
widać albo nikt nie chwali, to
nas to zajmuje i przejmuje
znacznie mniej.

Ale wracamy do dzieci. Otóż
z Rodezji Północnej i Połu-

dniowej mam dane o osiedlach
Marandellas, Rusape i Bwana
Kubwa, Livingston i Digglefold.

W Marandellas jest sześciu-
klasowa szkoła powszechna obe-
mująca 142 dzieci i bardzo nie-
zupelne gimnazjum, w którym
uczy się tylko 19 dzieci. W
Rusape 204 dzieci uczęszcza do
sześciu klas powszechnych, a pro-
gram pierwszej gimnazjalnej
przerabia aż... 4 dzieci. W
osiedlu Bwana Kubwa—w języ-
ku Swahili znaczy to "wielki
pan," o czym zresztą wie każdy,
kto czytał "W Pustyni i w pu-
szczy"— jest pięcioklasowa
szkoła powszechna, obejmująca
275 dzieci.

W Lusaka jest 300 dzieci, roz-
mieszczonych w szkole powszech-
nej i w przedszkolu.

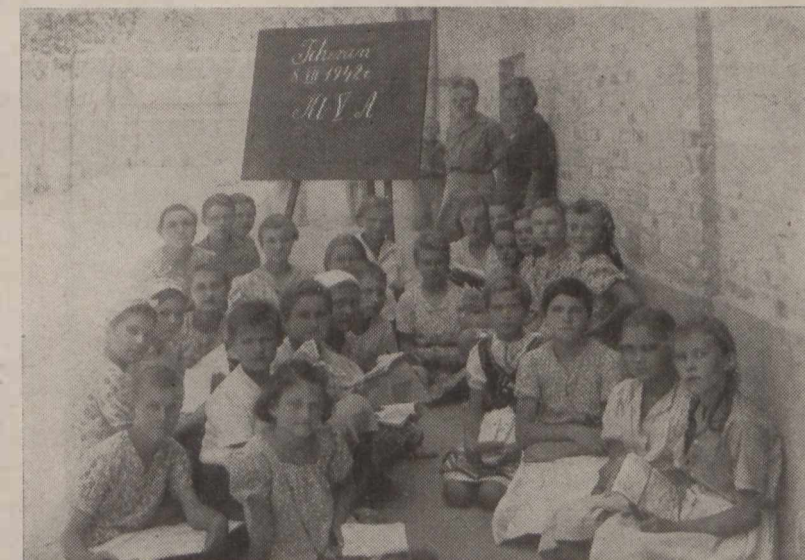
W Livingston 135 chłopców jest
w gimnazjum i liceum, a w Diggle-
fold powstało z początkiem lutego
1944 gimnazjum żeńskie dla 150
uczennic.

Ale największa ilość dzieci
polskich jest w krainie, przez



Dożywianie się na własną rękę

którą wędrowali mali bohaterowie
Sienkiewicza, Staś i Nel, w
Afryce wschodniej, o której pi-
sałem w poprzednim moim arty-
kule w "Polsce Walczącej."*



W szkole obozu nr. 1 pod Teheranem

szkole powszechniej, a w gimna-
zjum 38. W trzech osiedlach Tan-
ganyiki, poza Tengeru, znajduje
się szkółach powszechnych: w
Ifundzie 277 dzieci, w Kidugali

zarejestrowanych przez
nasze placówki 77.000 dzieci.
... A spis jest tak nie-
kompletny, brak danych z tylu
okręgów, nie uwzględnione są
w nim polskie dzieci w sowie-
ckich "jasiach," "dziet-sa-
dach" i szkolach, że będąc
bardzo ostrożnym i wstrzemię-
żliwym, można śmiało określić
pełną ilość dzieci polskich po-
stałych w Rosji na 100.000.

Pomyślcie: co najmniej sto
tysięcy par dziecięcych oczu,
które są pełne tęsknoty i
smutku. Sto tysięcy par Krzysi-
nych oczu. Pełnych bezsilnej
żałości. Pełnych nieufności i bo-
jaźni.

Tak, nieufności i bojaźni.
Podam dwa przykłady, za których
prawdziwość ręczę. Podam
krótko.

Oto pierwszy. Dwie dzie-
wczynki, które przyjechały z
Rosji do Anglii, błakają się
wśród londyńskiej mgły zimo-
wej. I boją się zapytać o
drogę policjanta. Po prostu
boją się, bo to policjant...

Oto drugi. Chłopak, też przy-
były z Rosji do Londynu, jedzie
nie przepisowo rowerem. Angiel-
ski policjant zatrzymuje go.
Pierwsza reakcja chłopca to
paniczna ucieczka. Wpada do
pierwszej otwartej bramy. Prze-
chodzi przypadkowo Polak.
Idzie za chłopcem, rozmawia
z nim i tłumaczy policjantowi,
że chłopak przyjechał z Rosji i
ma po prostu kompleks obawy
przed policją. Pocziwy angiel-
ski Bobby, obrońca słabych,
uśmiecha się życzliwie i po-
wiada: "All right, niech mu,
Pan tylko wytłumaczy, że
trzeba jeździć tak i tak". A
reakcja chłopca: zdumienie,
niedowierzenie a wreszcie
prośba:—"Niech mu pan powie,
że ja już teraz zawsze będę
stał za Anglią. Jeśli tu poli-
cjanci tacy, to co to musi być
za cudowny kraj, proszę pana."

Osobiście nie dziwię się
chłopakowi. Gdy raz, idąc
razem z moim przyjacielem, usly-
szeliśmy za sobą gwizdek sowiec-
kiego milicjanta w Kujbyszewie,
bo nieprawidłowo przeszliśmy
jezdnię — skoczyliśmy na chodnik,
jak oparzeni i pot nas obu oblał.
Ze strachu, przynają się. Bo
nuż człowieka poproszą na
chwileczkę na milicję. Tak
sobie, dla wyjaśnienia. I diabli
wiedzą, o co jeszcze mogą
pytać. A ty bracie—jak się
to teraz mówi w Sowietach—
udowodnij, żeś ty nie wielbłąd.
... Nie, nie dziwię się chłop-
kowi.

Tak, sto tysięcy par dziecięcych
oczu patrzy na cały świat cywilizo-
wany. W tych oczach jest zew krwi
rodzinnej, tęsknota za swoimi, jest
żałość, że niedostępna jest im
radość tych dzieci, które żyją w
Persji, Indiach czy Afryce
swoim własnym polskim ży-
ciem. A one zapominają mówić
po polsku...

I w oczach tych opuszczonych,
pozostawionych w Rosji, biednych
polskich dzieci przebiega się
jedna, wielka, dziecięca prośba:
"Oddajcie nas narodowi naszemu,
matkom naszym, ojcom i braciom
naszym". Czyż są na świecie
serca tak twarde, których by ta
prośba nie wzruszyła? Prośba
dziecięcych żalonych oczu.
Tych oczu piękniejszych i czyst-
szych, niż niebo samo.

W ROSJI JEST CIĄGLE 100.000 NASZYCH DZIECI

... sed iam nox humida coelo
Praecipitat suadentque cadentia
sidera somnos...

Tak, noc zapada wilgotna, a
gwiazdy sen rają... Skończy-
łem właściwie to, co miałem
pisać. O polskich dzieciach na
szerokim świecie, które udało
się zachować "od powietrza,
głodu, ognia i wojny"...

Ale są jeszcze inne polskie
dzieci. W najszerszym kraju
na szerokim świecie. W kraju,
którym rządzą przyjaciele na-
szych przyjaciół. W kraju,
któremu zapomnieliśmy wszy-
stkie nasze cierpienia i do
którego wyciągnęliśmy przyjazną
rękę. W Rosji.

W tym kraju pozostało

Jest ich tam bowiem w tej chwili
3849.

Wszędzie, w sześciu istnieją-
cych tam osiedlach, są sześciu-
klasowe szkoły powszechnie, w
dwóch największych: Masindi
i Tengeru, gimnazja (co prawda
w Tengeru tylko dwie pierwsze
klasy). Nie mówię już o sier-
ocińcach i dziecięcych przed-
szkolach, które są wszędzie.

W największym osiedlu Ma-
sindi — blisko jeziora Alberta
w Ugandzie — uczęszcza do
szkoły powszechniej 1086 dzieci,
do czteroklasowego gimnazjum
140, a do szkoły gospodarstwa
wiejskiego 80 dziewcząt w
wieku pozaszkolnym.

W drugim pod względem za-
ludnienia osiedlu, Tengeru — nie-
daleko góry Kilimandżaro w Tan-
ganyice — szkoła powszechna
obejmuje 1064 dzieci, pierwsza
i druga gimnazjalna łącznie
100, a z zawodowej szkoły do-
kształcającej—obejmującej m.i.
hafciarstwo i szycie—korzysta
137 osób w wieku od 17 do
40 lat.

W Koji — nad samym jeziorem
Wiktorja — 446 dzieci jest w

* Por. "Na tułaczach szlakach:
Polacy w Afryce Wschodniej," druk.
w nr. 27 "Polski Walczącej" z ub.r.

Polska — żywi oczami

Wobec wydarzeń wojennych*



W czasie sukcesów na froncie wschodnim, Niemcy wywieszali w miastach polskich olbrzymie afisze — mapy, pokazujące ich zdobycze terytorialne. W ciągu jednej nocy Polacy domalowali na wszystkich afiszach: "1812 r." — słusznie przepowiadając Niemcom los, jaki spotkał przedsięwzięcie Napoleona

Niespotykana siła woli, żelazna wytrwałość i opanowanie ludności polskiej pod okupacją niemiecką odbija jaskrawo od historycznych reakcji niemieckich, wahających się bezustannie między panicznym strachem, a bezgraniczną psychą. Postawa Polaków nie zmieniła się w swych zasadniczych zrebach od chwili wybuchu wojny do dziś, gdy coraz szybszym krokiem zbliża się dzień wyzwolenia. Wszyscy zawsze nie tylko wierzyli, ale wiedzieli z całą pewnością, że my tę wojnę wygramy, najgorszy zaś i najcięższy okres, który nas dzieli od zwycięstwa, musimy przetrwać. Na każde zbiorowe nieszczęście narodu, jedna tylko była odpowiedź: "nie dadzą nam rady."

W tym stanowisku niezachwianej ufności i pewności niejedno oparte było na złudzeniu, złudzenia te jednak były błogosławieństwem wobec niezmiernie trudnej sytuacji w codziennej walce z okupantem. Nawet najstraszliwsze dni upadku Francji nie wywołały w Polsce tego załamania, tej rozpaczki jaka była udziałem Polaków poza granicami Kraju. U źródeł tej ufności była, ugruntowana w społeczeństwie od dawna, wiara w potęgę Anglii. "Anglia nigdy nie przegrała wojny" — była to dewiza, przechodząca w tym okresie z ust do ust. Nie wiadomo na szczęście /oczywiście w szerokiej sferze społeczeństwa, nie zaś w podziemnych kręgach politycznych/ jak wyglądało wówczas przygotowanie wojenne Wielkiej Brytanii, gdy zaś informacje te dotarły z dużym opóźnieniem do opinii ogółu, były już nieaktualne i budziły tylko dreszcz sensacji, a nie realny niepokój.

Rzecz jasna, nieoczekiwana tragedia narodu francuskiego wywarła silne wrażenie i stała się tematem rozważań i komentarzy na długie miesiące. Zarzucano Francuzom zmaterializowanie, skłócenie wewnętrzne, brak wytrwałości. Próbowano usprawiedliwić załamanie wyczerpaniem po wysiłkach poprzedniej wojny. Nakładem ruchu podziemnego ukazały się tłumaczenia książek Maritain'a i Maurois o przyczynach katastrofy Francji, ale nie mogły one znaleźć pełnego zrozumienia u narodu o tyle słabszego i uboższego, a zdecydowanego na opór

za wszelką cenę. Odrzuciło budziło ustanowienie rządu w Vichy, tym bardziej, że Niemcy uważali postępowanie marszałka Pétain'a za doskonały atut propagandowy i wysławiali go bezustannie jako wzór rozumnego patrioty i realistycznego polityka.

Propagandzie niemieckiej zadadniczo nie daje się wiary. Gdy fakty podawane przez gadzinówki i "szekaczki" radiowe nie dają się zaprzeczyc, przyjmując się w każdym razie, że są one niezmiernie przesadzone. Stąd traktowano z powątpiewaniem nawet wiadomości o bombardowaniu Londynu. Propaganda goebbelsowska zachlustywała się twierdzeniami, że w stolicy Wielkiej Brytanii zupełnie zamarło życie, że "kamień na kamieniu" nie został, a Anglii straciwszy Imperium i znaczenie w świecie,

będą szczęśliwi, jeśli pozwolą się im po wojnie zostać na wyspie. Oczywiście przy tak już wyśrubowanej propagandzie ciągle triumfalny ryk: "Wir fahren gegen England" był przyjmowany wzruszeniem ramion.

Zatrwanie społeczeństwa polskiego wrogą propagandą nie daje żadnych wyników mimo ogromnego wysiłku wkładanego przez okupanta w tę akcję. Każdy Niemiec i Niemka, żyjący w Polsce, ma obowiązek bezustannej agitacji, podważania pojęć i poglądów polskich, osłabianie zaufania do Aliantów. Najmniejszy tylko objaw pominięcia małych państw w grze politycznej jest natychmiast podchwycony i zagrany propagandowo. Tytuł afisza: "Anglio, to twoje dzieło" — może być uważany za hasło całej szeroko zakrojonej akcji propagandowej Rzeszy.

Zdawać by się mogło, że w kraju zupełnie odcięty od świata alianckiego /stałe zresztą i regularne kontakty polityczne nie docierają naturalnie do szerokich sfer społeczeństwa/ — mogłaby wytworzyć się atmosfera, sprzyjająca szerzeniu się propagandy okupanta, robiącego tak znaczne wysiłki w tym kierunku. Nic podobnego. Polska jest znakomicie i szybko informowana o wszystkich wydarzeniach, zna nie tylko fakty, ale oświetlenia i komentarze, posiada własną prawdę polityczną.

Zakazy w sprawie radia są bezwzględne, za słuchanie grozi kara śmierci. Trudno ukryć odbiornik ze względu na wszechobecnych niemieckich sąsiadów. W pierwszych latach wojny można było cichcem korzystać z radia w czasie nieobecności niemieckich "lokatorów." Niemcy jednak zorientowali się, wydali bardzo ostre zarządzenia, obciążając odpowiedzialnością właścicieli aparatów i jak zwykle tam, gdzie mają do czynienia z Niemcami, nie Polakami — wygrali. Wiecznie zastraszeni Reichs- i Volksdeutsche wymienili lampowe odbiorniki na aparty miejscowe, lub pozamykali niebezpieczne skrzynki do szaf i zniknęła ostatnia możliwość łączności ze światem.

A jednak... w godzinę po przemówieniu Churchilla ludzie powtarzali sobie tekst, poprawiając z pobożną pedanterią każde opuszczenie. Nadal zajadłe dyskutowano ilość zdobytych na wschodnim froncie czołgów i

dział. Wystarczyły nieliczne przemysłnie ukryte aparaty i komunikaty ośrodków politycznych, a błogosławiona "szepczana propaganda" roznosiła wiadomości do najdalszych zakątków.

Jakimż przyjacielem i pocieszycielem stał się tak lekceważony przed wojną Komunikat Radiowy! Metaliczne pukanie sygnału londyńskiego przyspiesza rytm serc. Słowa padające z głośnika w ciszy i ciemności nocy, są bratnim wezwaniem, zapewnieniem, że "nie jesteśmy sami, że wrócą do nas ci, za którymi tęsknimy, że radzą o naszych sprawach i są częścią naszego wysiłku."

Dzień, który upłynie bez słyszenia, choćby z dziesiątych ust "naszego" komunikatu wydaje się pusty i niepokojący, a trochę łudzący nadzieją: "może właśnie dziś..." Opowiadanie sobie wiadomości radiowych jest ośrodkiem każdego zebrania towarzyskiego, często nawet jego celem. Ludzie zamykają się pytaniem "co dziś w radio," tak że nawet utarł się dowcip: "nie mam dziś czasu, sam sobie wymyśl." Rzeczywiście pole do fantazjowania nieraz duże; w atmosferze ciągłego napięcia uczuciowego łatwo się wierzy w najbardziej fantastyczne, aby tylko pomysły wiadomości.

W przyniatających warunkach bytowania pod okupacją trochę złudzeń ułatwia zachowanie spokoju i umożliwia przetrwanie. Gdybyśmy na początku wiedzieli, że trzeba będzie wejść w piąty rok wojny, mogło być nastąpić ciężkie załamanie psychiczne. Społeczeństwo jednak każdej zimy nabierało oddechu — "aby do wiosny." Gdy zima nie mogła zsić pokładanych w niej nadziei, wspominało, się znowu, że "wszystkie wojny kończą się późną jesienią." Oczywiście każdą zimą witano zawsze z rozpaczą, do całej biedy przylączał się jeszcze zaciekle wróg nędzarzy — mróz. Pocieszały się, niezbyt może szlachetnie, że jeśli nam zimno, to "im" na froncie wschodnim musi być zimniej.

Wspominając o dużym opanowaniu i równowadze społeczeństwa, miałam na myśli szczególnie stosunek ogółu do spraw zasadniczych. Tymi niezaprzedzalnymi i niezmiennymi elementami są przez cały czas wojny: niezłomność i konsekwentny opór wobec okupanta, pewność wygranej, wiara w dobrą w sto-

sunku do nas wolę Sprzymierzonych, zadowolenie, a nawet dumą z posiadania legalnych, demokratycznych władz i armii na emigracji. Te nie podlegające dyskusji pojęcia zapewniają stałość i równowagę opinii publicznej. Nie mniej jednak społeczeństwo podlega wstrząsom radosnym, czy bolesnym, reagując na wieści z zewnątrz. Reakcje te są nieraz silniejsze, niż by należało się spodziewać, warunki bowiem sprzyjają przesadzie i wyolbrzymieniu faktów.

Nieoczekiwany przewrót w Jugosławii wiosną 1941 roku wywołał wielką falę nadziei. Ogół czekał na "coś na Bałkanach." Szeptano "początek końca." Rozdrażnienie Niemców, cała masa drobnych szczytów, którymi pokrywali swój niepokój i irytację utwierdzało ludzi w złudnych nadziejach na wiosnę ludów. Zatopienie "Bismarck" natychmiast po klęsce "Hooda" — zrobiło niezwykle silne wrażenie. — "Anglia jeśli chce — mówiono — może bardzo wiele, należy tylko czekać na odpowiedni moment."

Wybuch wojny niemiecko-rosyjskiej wywołał powszechny entuzjazm. Jedyny to raz widziałam tłumy Polaków oblegających megafony. Rozradowanymi twarzami odbijali jaskrawo od skupionych i niepewnych oczu niemieckich.

Pierwsze piorunujące sukcesy niemieckie w Rosji nie wywołały przygnębienia. Słusznie oczekiwano, że niezmiernie przeszerzenie, śniegi i mrozy są wrógiem znacznie groźniejszym, niż Niemcy przypuszczają. Mimo to nie lekko było żyć w atmosferze bezustannej radości Niemców, codziennych niemal wydań nadzwyczajnych. W głównych punktach miasta stały olbrzymie mapy plastyczne, na których codziennie przesuwano chorągiewki, osaczające codziennie groźniej Leningrad, nawet Moskwę.

Następna zima przyniosła cięższy cios — upadek Singapuru. Nie umiano sobie tego wytłumaczyć. Zachwiała się wpojona jeszcze w dzieciństwie wiara w potęgę kilku głównych twierdz świata, zaczęto się obawiać o los Malty i Gibraltaru. Wtedy jedyny raz zjawily się refleksje, czy w ogóle pojęcie twierdzy nie do zdobycia może się ostać w świecie nowych zdobyczy technicznych.

Pierwsze promienie wiosny przynosiły zawsze ulgę. Każda wiosna była "nadzieją brzemienią." W maju 1941 przybyli Amerykanie do Anglii, "przecież nie na to, żeby tam siedzieć przez zimą." I najpiękniejsza wiosna ostatnia, po Stalingradzie — oczyszczona z ostatniego wroga Afryka, Niemcy rozbici, Niemcy w żałobie, Niemcy w tragicznej ucieczce. Cóż za spełnienie marzeń dla narodu, któremu dotąd rzadko zdarzało się widzieć swych śmiertelnych wrogów inaczey, jak pysznych, butnych i szyderczo roześmianych.

Znany już nam był i przedtem śmiertelny strach w ich oczach przed kulą polskiego bojowca, widzieliśmy fale uchodzące z Lubeki, Bremy, Hamburga, Berlina, ale dopiero tej wiosny można było wyczuć u okupanta strach przed przyszłością, lekliwe próby asekuracji na przyszłość, odtrącanie przez nas z pogardą, drobne awanse lub mściwą bezprzytomną pogroźką: "może zginiemy, lecz wy z nami."

Nie dotarła do opinii polskiej propaganda zwycięskich Niemiec, ani w najbardziej różnorodnych barwach kreślona "Neu-Europa." Tym bardziej nie zdołała na nią wpłynąć nowa próba wywijania straszakiem zwycięskiej "żydo-plutokracji" w sojuszu z bolszewikami. Z fabrykami "Propagandaamt" nie było nawet w opinii polskiej dyskusji. Odepchnięto najbardziej stanowczo próby zastraszenia czy zjednania, z obrzydzeniem odwrócono się od krokodylich łez w sprawie Katynia.

Opinia polska żyje własną mocno ugruntowaną prawdą, a lży niemieckie pragnienie zobaczyć dopiero w dniu ich rozpaczki i upokorzenia.

Poszukiwani

Osoby te jak również ich znajomi posiadający bliższe dane a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do biura Rodzin Wojskowych, Ministerstwa Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

WYKAZ NR. 36
CIĄG DALSZY

33. Dziejowski Romuald por. — poszukiwany przez żonę Helenę i córkę Zofię zam. w Z.S.R.R. /3800/81/.
34. Dziurzyński Stanisław plut. — poszukiwany przez żonę Marię, córki Jadwigę i Ewę oraz syna Władysława zam. w Z.S.R.R. /3800/71/.
35. Dorosz Stanisław Marian ur. 11.5.1911 r. w Rajtarowicach, syn Mariana i Amalii — poszukiwany przez żonę Zofię, Tengeru, Aruscha Tanganyka /6639/.
36. Engliazer Aleksander ppor. był w Starobelsku — poszukiwany przez żonę Rezinę zam. w Z.S.R.R. /R/14/.
37. Frydel Tomasz plut. — poszukiwany przez żonę Marię i córkę Irenę zam. w Z.S.R.R. /R/14/.
38. Galant Bazyli plut. — poszukiwany przez żonę Katarzynę i córkę Janinę zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.
39. Gera Józef kpr. — poszukiwany przez żonę Helenę i dzieci Zygmunta, Stanisława zam. w Z.S.R.R. /3800/81/.
40. Gier Jan kpr. — poszukiwany przez żonę Janinę i córkę Alicję zam. w Z.S.R.R. /3800/80/.
41. Gil Stanisław plut. vide poz. 63 /Klimkowska Józefa/.
42. Gierusz Ludwik kpr. — poszukiwany przez żonę Marię i córkę Ludwikę zam. w Z.S.R.R. /3800/81/.
43. Gbur Marię z dziećmi — poszukuje Teodor Gbur /Anglia/ /5555/.
44. Gromnicka z domu Teichman Olze i Gromnicka z domu Klimczówna Teodozie — poszukuje Gromnicki Zygmunt /Anglia/ /5555/.
45. Gonia Józef ur. 1922 r. we wsi Wierzy — poszukuje rodzice — Józefa i Andrzeja zam. w m. Krasnouralsk, Swierdłowska obłast Z.S.R.R. /6204/.
46. Golin Rudolf por. — poszukiwany przez żonę Stefanię i dzieci Danutę i Janę Józefę zam. w Z.S.R.R. /R/12/.
47. Gulanowski Marian kpr. — poszukiwany przez matkę Adele zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
48. Hatuszczyk Franciszek pdchr. — poszukiwany przez matkę Aleksandrę zam. w Z.S.R.R. /3800/73/.

49. Hawrot Marian szer. — poszukiwany przez żonę Stanisławę zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.
50. Heikaluk Bronisław chor. — poszukiwany przez żonę Antoninę i dzieci — Leszek i Bogumiła zam. w Z.S.R.R. /3800/81/.
51. Hergoc Władysław plut. — poszukiwany przez żonę Anne i dzieci — Janinę, Karolinę i Felicję zam. w Z.S.R.R. /3800/78/.
52. Ichnatowicz Mariana kpl. 15 D.A.P.L. Katowice, ur. 1893 r. — poszukuje żona Julia, Alger /5555/.
53. Iglkowski Andrzej i Zbigniewa — poszukuje Kukula Kazimierz /Anglia/ /5555/.
54. Jankowski Marian kpr. — poszukiwany przez żonę Bronisławę rodziców Franciszka i Marię oraz siostry Wiktorie i Irenę zam. w Z.S.R.R. /3800/72/.
55. Jaworski Jan oficer — poszukiwany przez żonę Jadwigę i dzieci Irenę i Zygmunta zam. w Z.S.R.R. /R/119/.
56. Jodkowski Karol — poszukiwany przez matkę Julię i rodzeństwo Józefa, Antoniego, Marię i Bronisławę zam. w Z.S.R.R. /3800/80/.
57. Jędrzejewski Zbyszko Stanisława ur. 1907 r., syn Lecha i Kazimierza, Smer woj. Poznańskie — poszukuje żona Stefania /6617/.
58. Kajko Józef wojskowy — poszukiwany przez żonę Aleksandrę i pasierbice Elwirę zam. w Z.S.R.R. /3800/72/.
59. Kalinowski Aleksander ppor. — poszukiwany przez ojca Jana zam. w Z.S.R.R. /3800/68/.
60. Kasprzycki Antoni por. — poszukiwany przez żonę Janinę, teściu Tkaczyk Michała i siostrę Tkaczyk Michalinę zam. w Z.S.R.R. /3800/67/.
61. Karwat Wiktor ur. w 1924 r. — poszukuje ojciec Stanisław Polish Forces, Pairoforce 208 /6643/.
62. Klewiado Michał ur. 27.2.1905 r. Szyłaki, pow. Świeciany — poszukuje żona Maria zam. /6617/.
63. Klark Stefan pdchr. — poszukiwany przez matkę Helenę i siostrę Jadwigę zam. w Z.S.R.R. /3800/68/.
64. Klimkowska Józefa ur. 1889 r., zam. w Z.S.R.R. poszukuje syna Gil Stanisława plnt. /3800/80/.
65. Kleibasa Józef ur. 1902 r. — poszukuje żona Helena. Teheran, Delegatura M.O.S. /6647/.
66. Kaczmar Bolesław — poszukuje ojciec Marek, Polish Forces, Pairoforce 525 /6649/.
67. Kondratowicz Witold ur. 1920 r. — poszukuje brat Stanisław, Polish Forces M.E. 102 /6646/.

68. Kulesza Józef kpt. Br.Panc. Niepolomicze ur. 1903 r. — poszukuje żona Janina /P.S.K. Anglia/.
69. Kukula Józef, Cecylia, Halina i Danuta — poszukuje Kukula Kazimierz /Anglia/ /5555/.
70. Kuczewskiego Franciszka z rodziną — poszukuje Józef Kuczewski /Anglia/ /5555/.
71. Klimuk Teodor kpr. — poszukiwany przez żonę Genowefę i dzieci Helena, Ryszard, Irena i Edward zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
72. Kocik Jan plut. — poszukiwany przez matkę Agnieszkę i rodzeństwo — Pelagie, Bronisława i Edwarda zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.
73. Kowalczyk Michał szer. — poszukiwany przez ojca Michała, matkę Rozalię i rodzinę — Stefana, Wasylia, Józefa, Zofię, Anastazję, Emilię, Mikołaja i Julię zam. w Z.S.R.R. /3800/80/.
74. Kozak Marcin szer. — poszukiwany przez żonę Wandę i syna Adama zam. w Z.S.R.R. /3800/81/.
75. Kozłowski Edward kpr. podchr. — poszukiwany przez żonę Pelagię, ojca Aleksandra i córkę Annę zam. w Z.S.R.R. /3800/72/.
76. Krasiński Jan-Bolesław por. — poszukiwany przez żonę Jadwigę i córkę zam. w Z.S.R.R. /R/63/.
77. Krupnik Stanisław kpr. — poszukiwany przez żonę Karolinę i córkę Annę zam. w Z.S.R.R. /3800/79/.
78. Kruczek Jan kpr. — poszukiwany przez ojca Jakuba, matkę Marię i rodzeństwo — Helenę, Stefanie, Mikołaja i Piotra oraz krewną Joannę zam. w Z.S.R.R. /3800/75/.
79. Kubalek Kazimierz por. — poszukiwany przez żonę Eugenię i córkę Krystynę zam. w Z.S.R.R. /3800/69/.
80. Kubaszewski Stanisław kpr. — poszukiwany przez żonę Zofię i syna Wiktora zam. w Z.S.R.R. /3800-68/.
81. Kupfer Abraham — poszukiwany przez żonę Julię, córkę Rut i syna Feliksa zam. w Z.S.R.R. /R/72/.
82. Kurzej Aleksander kpr. — poszukiwany przez matkę Michalinę i siostrę zam. w Z.S.R.R. /R/62/.
83. Kuta Kazimierz mjr. — poszukiwany przez matkę Aniela i rodzinę Franciszka i Janinę zam. w Z.S.R.R. /3800/76/.
84. Land Ryszard ppor. — poszukiwany przez rodziców Józefa i Janinę oraz rodzeństwo — Jadwigę, Walentynę i Krystynę zam. w Z.S.R.R. /3800/80/.
85. Langsam Artur plnt. — poszukiwany przez matkę Salomeę, Iran, Teheran, II Obóz Cywilny, sztafa 45 /ma list/ /6559/.

Noc z Klarą na Atlantyku

Gdzie, skąd i kiedy dostała się Klara na statek — nie wiadomo. Razem z nią przyszedł i Tomasz. I teraz, gdziekolwiek się ruszy na pokładzie, wszędzie można ich spotkać. Waleją się z dziobu na rufę, zaglądają do salonu, na mostek i do kabin, a najczęściej spotkać ich można w kuchni, gdzie z kucharzem prowadzą jakieś prowiantowe konszachty. Szczególnie Klara, która swym żeńskim sprytem czy umizganiem, zawsze zdobywa najwięcej.

Elegancka, wymyta, paraduje przed każdym, kto tylko na nią spojrzy. Usiadła na kolanach, i mrużąc zielonawe oczy, przytula się i lasi, a często zasypia, ułożony przedtem wygodnie. Jeżeli Klara wejdzie do kabiny — Tomasz na pewno za chwilę zjawi się również. Gdy ona dla rozrywki czy przez złośliwość wejdzie po linie do połowy masztu — on zaraz drapie się za nią. I tak wszędzie; są nierozłączni.

Jednej nocy, w czasie ostatniej podróży przez Atlantyk, około godziny 10-jej wieczorem, leżałem na kanapie w radiostacji, czekając na odbiór telegramów. Światła były pogaszone i tylko nad odbornikiem paliła się mała żaróweczka, tak, by poprzez zasłonę w drzwiach prowadzących na korytarz i pokład nie padało światło. Statek rzucał się na fali, uderzając się głębokimi przechyłami na burtę — musiałem więc uważać, by nie spaść z kanapy.

Nie mając na co patrzeć, przyglądałem się zastłonie, jak zgodnie z ruchami statku odslaniała, to znów przysłaniała wejście. Gdyby zapomnieć o kolyśaniu, można by sądzić, że to jakaś niewidzialna ręka uchyla zasłonę, by wpuścić niewidzialną osobę — tak jak to się dzieje na niektórych filmach.

Tylko że było zupełnie niemożliwe zapomnieć, bo statek idąc pełną szybkością, rozpędem wjeżdżał na szczyt fali, zatrzymywał się chwilę na wierzchołku, a potem pedził, walił się w dół na spotkanie następnej, i wbijając się w nią dziobem, drgał cały od uderzenia, trząsał się każdym wiązaniem i węgłem. Wiatr świszczał i wyl w wantach i sztagach, a z pokładu słycało było szum przelewającej się wody, która za każdym uderzeniem fali dostawała się na pokład. W ogóle — wredna, sztormowa noc.

Leżąc tak i myśląc o wszystkim i niczym, a przede wszystkim o tym, by nie spaść, zobaczyłem, jak z przechyłem statku odchyliła się zasłona i do radiostacji, pociachu, bez szmeru weszła Klara. Jak dostała się tutaj przez stałe zalewany pokład — nie wiem; ale była mokra. Światło ją trochę oślepiło, stała przez chwilę niezdecydowana, a potem bez ceremonii położyła się na kanapie obok mnie.

Była to miła niespodzianka, bo o ile przedtem często mnie odwiedzała, to zawsze w dzień i przy dobrej pogodzie, i zawsze z Tomaszem. A że na radiostacji miałem służbę do rana, ucieszyłem się z tego niespodziewanego towarzystwa.

Widząc, że nie mam nic przeciwko jej obecności, Klara przysunęła się bliżej, ułożyła głowę na moim ramieniu, patrząc we mnie zielonymi, świecącymi oczyma. Chciałem się z nią pobawić, wyciągnąłem rękę, lecz w tej chwili odezwał mi się nad uchem gwizdek — to z mostku wolano mnie przez tubę, bym przyszedł sygnalizować do innego statku.

Cóż było robić? Odsunąłem delikatnie Klarę — z wyrzutem na mnie spojrzała — i poszedłem na mostek. Po drodze zimny bryzg oblał mi twarz, część walała się za kółkiem, a na wargach poczułem słony smak. Wpadając na mostek, zderzyłem się jeszcze w ciemnościach z oficerem służbowym i zakleliśmy obaj brzydko a głośno.

Wiał zachodni sztormowy wiatr, i gdy tylko wysunęło się nos zza ochrony, wiatr uderzał w twarz, wciskał się w oczy, nos i usta, dławiąc w gardle każde słowo, wyciskając łzy ze zmrużonych oczu. Wokół ciemna noc; jak gdyby czarna ściana wyrastała przed oczami, tak, że na odległość kilku cali nie widziało się nic, absolutnie nic. Statek pracował ciężko na fali, zakopując się w te olbrzymie góry wodne, które wyrastały przed dziobem, to znów biorąc wodę całą burtą przy głębokich przechyłach. Nie widziało się tego, czuło się tylko drganie kadłuba przy każdym uderzeniu, oraz szum wody na pokładzie, a poza tym bryzgi przelatywały nad mostkiem, zalewając słoną pianą każdą szparę i kącik.

Gdzieś po obu stronach, z dziobu, z rufy, znajdował się konwój, lecz żadne oko nie przejrzałoby tego muru ciemności. Jeden tylko statek, mając widocznie coś ważnego do powiedzenia, mrugał do nas

ściemnym zielonawym światłem. Rozstawiłem szeroko nogi i objawszy miłośnie podstawę karabinu maszynowego, aby przy przechyle nie upaść, zgłosiłem się do niego i zaczęliśmy "rozmawiać". Sygnalizowałem może pół godziny, zmarłem, jeszcze kilka bryzgów przeleciało mi nad głową, zostawiając za każdym razem wystarczającą ilość wody, by z czapki i kołnierza spływała po karku wzdłuż grzbietu, a potem zeszedłem na dół.

Uciekając przed wiatrem i falą, wpadłem z trzaskiem do radiostacji i obudziłem tym Klarę. Spojrzała na mnie leniwie spod półotwartych oczu, przeciągnęła się lubieżnie, poczem zmieniwszy pozycję, ułożyła się jeszcze wygodniej i zamknęła oczy. Położyłem się przy niej, starając się zajmować jak najmniej miejsca, a ona, czując mnie obok, przysunęła się i jak przedtem, położyła głowę na moim ramieniu, lecz widząc, że jestem mokry, odsunęła się na poduszkę.

Zamknęła oczy, i już za chwilę oddychała miarowo — spała. Było mi trochę niewygodnie, ciasno, lecz nie chciałem się ruszać, by jej nie budzić. Pozostałem więc w tej pozycji, i by czas przedzej płynął, pozwoliłem myślom biegać po różnych tematach.

W ciężkim sztormie, gdy statek silnie kołysze, fala bije w burtę, a wiatr wyje na pokładzie, gdy się siedzi w ciepłej kabine, myśli dziwnie bezładnie zjawiają się, mieszają, i znikają. Nie wiadomo gdzie i kiedy — tak jak przyszły.

O czym ja nie myślałem tej nocy... O pierwszych sztormach na Morzu Bałtyckim, gdy rozpoczynałem dopiero karierę morską: kiedy każde parodniowe kolyśanie statku oznaczało parodniowe męki choroby morskiej. Później podróże na Morze Śródziemne, do Palestyny, Turcji, Algieru i Egiptu, gdzie w kabaretach m'ode i stare, piękne i brzydkie Arabki śpiewały nam cały wieczór tę samą melodię, ten sam taniec tańcząc całą noc. Później środkowo-zachodnie porty Afryki, gdzie statek kotwiczył gdzieś na rzece na skraju dżungli, ładunek brało się z małych łódek murzyńskich, a w wolne dni z karabinem, na motorówce płynęło się w odnogi rzeki, by szukać myśliwskiego szczęścia i wmawiać w siebie, że jest się nowoczesnym "explorerem". Przywieźliśmy

stamtąd do Gdyni wiele pamiątek, opaloną na brąz skórę i dożywni wstręt do moskitów.

A te paromiesięczne podróże do Ameryki Południowej, Brazylii, Urugwaju i Argentyny, gdzie zakochaną w hiszpańskich kobietach żalę, siłą trzeba było sprowadzać na statek; nie chcieli odjeżdżać! Bo też piękne to były kobiety...

Myśli, z tak miłego tematu, niekontrolowane, przeskoczyły na wojnę. Mobilizacja na parę dni przed wybuchem, później pierwsze naloty niemieckie na Rzeszów, gdzie stałem ze swoją jednostką. Pierwsi zabici i ranni, których widok tak mną wstrząsnął, a miał mi towarzyszyć przez cały czas... A później rany, niewola bolszewicka i niemiecka, ucieczki, obozy, i znów wojsko we Francji... A potem jeszcze jeden odwrót, by wreszcie po roku nieobecności wrócić na swój statek w Anglii.

Doprawdy, gdy podjeżdżałem wówczas motorówką pod burtę statku, nie wiedziałem, czy się śmiać czy płakać... Zaczęłem więc głośno wołać, kogo — sam nie wiem. A potem, gdy wypłynęliśmy w morze i po paru dniach zatonyły dwa storpedowane statki, bałem się jak nigdy. Może nie tyle o swoje życie, ale że mi było statku, który był mi domem i tyle miał dla mnie miłych wspomnień.

A potem przyzwyczaiłem się, nie wiem kiedy... Czas robi swoje. Tak też i ja, gdy później w silnym sztormie tonął torpedowany statek, gdy nie można było nic zrobić, by wyratować załogę, mówiłem sobie, że są to konieczności wojny. A gdy śliczny, nowy, o idealnej linii z opływowym dziobem statek, rozerwany wybuchem miny zanurzył się szybko w falach — żał mi było tylko jego krótkiego życia na morzach, żał było siły w nim zawartej, która mogła go prowadzić od lodów północy do mórz południa. I kłamałem wszystkim, którzy tę wojnę wszczęli.

W aparacie radiowym odezwał się sygnał, jeden, drugi, przerywając tok myśli. Chwyciłem więc za obówek i zacząłem odbierać całe ostrzeżenia o okrętach podwodnych, które spostrzeżono w pozycji i kilkadziesiąt mil na naszym kursie. Pewnie zaraz zmienimy kurs — pomyślałem — i zacząłem uspakając Klarę, która obudzona moim nagłym zerwaniem się, krę-

ciła się niezadowolona na kanapce.

Lecz w tej chwili odezwał się znów aparat. Ostro, urywany, krótkimi znakami, nerwowo nadawanymi gdzieś daleko czyją ręką podawał: "Statek ugodzony torpedą, kładzie się na burtę, toniemy..." Parę razy jeszcze nadal pozycję, potem chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz w połowie słowa stacja ucichła. Widocznie albo woda zalała mu już dynamo, lub operator wybiegł z radiostacji i próbuje się ratować.

Ratować się...? — Przecież przy tej pogodzie żadna siła im nie pomoże. Szalupy roztrzaska fala, zanim jeszcze będą mogli je spuścić. Nie ma dla nich żadnego ratunku, zginą, nie pozostanie po nich żadnego śladu, prócz wspomnień...

Jest coś nienormalnego w tej sytuacji, że ja, siedząc w ciepłej radiostacji, wiem i zdaję sobie dokładną sprawę, że w tej chwili, o jakie sto mil od nas tonie statek a z nim ginie jego załoga, a ja — my — nie możemy im nic pomóc. N I C !

Spojrzałem na Klarę. Spała, ruszając się lekko za każdym przechyłem statku. Pomyślałem, co też się z nią stanie, jeżeli nas kiedy trafi torpeda; czy będzie czas myśleć o niej, czy też zmyta falą, porzucana jakiś czas przez nią, utonie cicho i spokojnie...?

Lecz ona nie miała tych zmartwień, i nawet nie drgnęła, gdy położyłem się na kanapie obok niej. Musiałem spać parę godzin, bo gdy się obudziłem, był już ranek, światło przezierno przez zasłonę w drzwiach, a na krześle obok aparatu siedział Tomasz i złym wzrokiem patrzył na mnie i leżącą przy mnie Klarę.

Wyszedłem na pokład. Statek jeszcze silnie kołysał, brał wodę na pokład, powierzchnia morza była pokryta pianą i wiatr ciągle jeszcze grał na wantach, lecz byliśmy już o jeden dzień bliżej Ameryki, a przed nami pozostało tylko cztery, może pięć takich nocy, jak ta ostatnia.

Może spędzę je z Klarą, kto wie...?

P.S. Klara to nasz rudy kot, a Tomasz to jej przyjaciel.

STEFAN GAZEL

W SPRAWIE ZAMKNIĘCIA "WIADOMOŚCI POLSKICH"

Zamknięcie tygodnika "Wiadomości Polskie" poruszyło polską opinię publiczną, przynajmniej znaczną jej część. Po raz pierwszy bowiem od chwili przybycia naszego na gościnne Wypły Brytyjskie zastosowano do nas metodę siły. Nigdy bodaj przedtem żadne pismo politycznych emigrantów na brytyjskim terenie nie spotkało się z podobnym zarządzeniem.

Opinia publiczna zaniepokoiła się tym faktem nie tylko ze względu na zniknięcie z powierzchni kulturalnego życia emigrantów-Polaków pisma o znacznych walorach literackich, pisma, które dzięki swojej "Skarbnicy" drukowanej na ostatniej stronie stwarzało ciągłość między literaturą starą i piękniejszą, a literaturą nową i uboższą. Opinia publiczna dojrzała w tym akcie groźna szczerbę rysującą się na zasadzie wolności i niezawisłości prasy.

Kiedy przed wojną w Polsce mnożyły się konfiskaty, kiedy białe plamy zdobyły wszystkie niezależne pisma, stawiano nam za przykład Wielką Brytanię mówiąc: Popatrzcie na nich — krytykują swego premiera, wysmiewają ministrów, dyskustują najbardziej drażliwe sprawy obronne. Tam jest wolność słowa, tam jest wolność prasy, tam powinniście się uczyć zasad prawdziwej, szczerzej demokracji. Dzisiaj zaś w tragicznym momencie, kiedy jedyną wolną sło-wo polskie drukowane ukazywać się może poza granicami Rzeczypospolitej, przychodzi cios od strony najmniej spodziewanej, najbardziej przecież przyjaznej — od strony brytyjskiej.

Szukamy usprawiedliwień tego kroku. Myślimy — wojna, zgoda pomiędzy Sojusznikami, potrzeba harmonii, obowiązek niedawania argumentów nieprzyjacielowi. To wszystko przecież bardzo istotne, bardzo zasadnicze — o nieprzestrzeżenie tego oskarżono "Wiadomości Polskie." I podczas kiedy takie myśli przychodzą do głowy, przed oczyma stają kolejne numery pisma komunistycznego "Daily Worker" i jego ataki na rząd polski, na rząd sojusznicy, pierwszy, jaki zawał do Wielkiej Brytanii, w momencie, kiedy stała ona samotna, prawie bezbronna naprzeciwko niezmiernie potęg niemieckiej. Potem osławiona "Trybuna Polska" zmieniona dzisiaj na

"Głos Polski" wychodzący w Londynie i szkalujący wszystko co polskie. Czy to jest harmonizowanie wspólnego wysiłku wojennego? Czy to jest zgoda? Czy tamte pisma mają większe prawo istnienia, aniżeli polski tygodnik, którego jedynym grzechem jest bronienie polskiego stanu posiadania, którego jedyną zbrodnią jest posiadanie innej opinii o potrzebie istnienia niepodległej Polski, aniżeli sowiecka "Prawda"?

Myśli rębą się w swojej drodze, której celem jest zawsze znalezienie usprawiedliwienia dla naszych gospodarzy. Szukając go, chcemy oszczędzić sobie tragicznych rozczarowań, smutnych refleksji. Cóż by nam bowiem pozostało, co pozostało by Krajowi, gdyby upadła wiara w cele wojny, gdyby upadła wiara w potrzebę wszelkich poświęceń?

Myśli biegną także wstecz, sięgają początku okresu niepodległości, wspominają pierwsze numery ówczesnych "Wiadomości Literackich," ich rozrost. "Wiadomości" były w Polsce nie tylko pismem tygodniowym skupiającym pod swymi skrzydłami ogromną część polskiego życia kulturalnego. Pismo to także stało się inicjatorem szeregu konkursów literackich, dając w ten sposób podniecie pisarstwu młodym i niewyrobinom do próbowania sił. Prócz

tego przyznawały one nagrody coroczne za najlepszą książkę bieżącego roku — otrzymali je Bak, Wittlin, Wasutyński i Czapska. Wszystkie prace wzbogadziły niewatpliwie literaturę narodową. Numery specjalne w rodzaju mickiewiczańskiego i conradowskiego miały na celu przypomnienie jednym, uprzedzanie drugim arcydzieł naszej literatury.

Gdy przyszedł moment wrześniowej katastrofy i zawałiło się wszystko, nikt nie myślał o prasie polskiej, nikt nie przypuszczał, że się odrodzi, zanim jeszcze Polska będzie wolna z powrotem. Odrodziła się w potęgę nienotowanej dotąd w dziejach dziennikarstwa — potęgę słowa drukowanego w podziemiach. Skala, na jaką się rozrosła, organizacja wydawnictwa, ich ilość, kolportaż a przytem stosunkowo mała liczba pism wykrytych przez okupanta, to właśnie ta potęga dotąd niespotykana.

Na emigracji zaś wyrosła jedyna prasa wolna. Dzięki zbiegowi okoliczności, współodpowiedzialni za istnienie "Wiadomości Literackich" znaleźli się na obczyźnie. Rozumiejąc znaczenie polskiego słowa drukowanego przystąpili natychmiast do pracy. "Wiadomości Polskie" pojawiły się w Paryżu obok "Polski Wal-

czącej" zainicjowanej o kilka miesięcy wcześniej w coëtquidańskim obozie.

We Francji "Wiadomości" wychodziły tylko jeden kwartał. Potem przesyłły drugi kryzys, drugie załamanie się tego wszystkiego, w co przecież wierzyliśmy, co traktowaliśmy jako świętość drugiej ojczyzny. Poprzez upadek Francji, na statkach pod banderą polską płynących, przyjechało także do Anglii wolne polskie słowo. "Wiadomości Polskie" zmartwychwstały po raz drugi w Londynie. Przez swoje artykuły, przez swój poziom, przez siłę Nowakowskich, Zahorskich, Terleckich, Kuncewiczowych znów poczęły na małą skalę spełniać swą rolę. Prócz tego postawiły sobie za zasadę, by przekonać emigracyjnych czytelników do instytucji brytyjskich, podawać im co ciekawsze wyjątki z prasy, opisy instytucji, miast, zwyczajów, kultury i historii. Zyskały sobie wielką poczytność.

I nagle przyszła wiadomość o zamknięciu pisma. Potem po paru dniach treść interpelacji posełkiej w Izbie Gmin i szorstka odpowiedź brytyjskiego ministra informacji: nie mam zamiaru rozmawiać na temat możliwości cofnięcia zarządzenia o zamknięciu tego "szkodliwego tygodnika"...

Wierzmy, że krok ten był usprawiedliwiony, ponieważ wierzyć musimy. Tylko ta wiara bowiem utrzymać nas może jeszcze przy zdrowych zmysłach, przy wytrwaniu. Nie pojmujemy jednak niewspółmierności ogromnej w stawianych zarzutach i popelnionych winach. Nie pojmujemy odmiennego traktowania pism wrogich sprawie polskiej, pism szkalujących rząd prawowity polskiego sojusznika, komentarzy radiowych cytowanych skwapliwie przez Niemców. Nie pojmujemy zarzutu wykonywania artykułów "Wiadomości" przez nieprzyjaciela, skoro artykuły "Timesa" dostarczają więcej tych argumentów, skoro zasada wielkich mocarstw sama przez się jest wodą na młyn Niemiec hitlerowskich, skoro mowa Smutsa podchwyciona była i powtarzana stokrotnie. Czy zatem i "Times" i Smuts działają na szkodę Narodów Sprzymierzonych?

Wolność prasy i wolność słowa były, są i będą pierwszymi warunkami prawdziwej demokracji. Korzystając z gościnny kraju potężnego, kraju o wielkiej przyszłości i ogromnym prestiżu całego świata, nagle poczulimy się sami i opuszczeni. Przeciwno nam bowiem zrobiono w tych zasadach wyłom. Naszym kosztem nakarmiono niemieckich propagandystów, dano im w rękę ogromny atut nietolerancji politycznej Anglii. Nie mamy gdzie się obrócić, brak nam zaplecza. W Kraju nadal wychodzą setki pism pod ziemią...

Mówimy dzisiaj o tym, ponieważ wzorem brytyjskich pism, wzorem dzienników i tygodników, uważamy, że mamy obowiązek upominania się o nasze prawa. Dały temu wyraz nasze czynniki rządowe interweniując przeciwko zawieszeniu "Wiadomości." Dali wyraz dziennikarze uchwały Związku. Dzisiaj, na łamach wojkowego organu, pragniemy dać wyraz temu samemu. "Wiadomościom Polskim" zaś, w których istnienie ciągle nie wąpi przeciw nikt z Polaków rozrzuconych na świecie, życzymy, by podobnie, jak przetrwały dwa wielkie kryzysy wojenne w roku 1939 i 1940, potrafiły przetrwać ten trzeci, może najbardziej smutny i najbardziej głęboki — kryzys wiary w zasady, o które walczą Zjednoczone Narody.

Łącząc wyrazy prawdziwego szacunku

Zygmunt Nagórski, jr.

Skrzynka pocztowa

Prowadzić przyjaciół i znajomych na:

"POLAND'S SEA EXHIBITION

War Effort and Peace-time Development of Polish Navy and Merchant Navy"

22, Lower Regent Str., S.W.1.

Od godz. 10,00 do 17,00 w niedziele od godz. 11,00 do 16,00. Wystawa trwa od 10 lutego do 20 marca.

Ukazała się książka

Adam Pragier:

H. G. Wells

oświecie i o Polsce

cena 7/6

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Ukazał się drugi nakład książki

Stanisława Szyfmana:

OGÓLNE PODSTAWY ELEKTROTECHNIKI

zaleconej do użytku służbowego w Polskich Siłach Zbrojnych zarządzeniem Ministra Obrony Narodowej

Skład główny:

Książnica Polska, 242, Hope Street, Glasgow.

Dla Polaków w Rosji: £10,745

Redakcja "Polski Walczący,"
W załączeniu przesyłam M.O. na kwotę £6 sh.10 d.8 złożoną przez żołnierzy III dyonu z dobrowolnych składek dekadowych w miesiącu styczniu r.b. z przeznaczeniem na pomoc Polakom w Rosji.
Dowódca Dyonu
kapitan M.K.

P. John Piekło /Pittsburgh, USA/ z listem w sprawie poszukiwania rodziny wywiezionej do Rosji przelał \$1 /jeden dolar amerykański/. Równowartość 4 sh. 11 d. przeznaczamy na Polaków w Rosji.

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £6.15.7 /słownie: sześć funtów, piętnaście szylingów, 7 pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną do tychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £10,745.67 /słownie: dziesięć tysięcy siedemset czterdzieści pięć funtów, sześć szylingów i siedem pensów/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5 dolarów amerykańskich, 15 czerwienców i 100 milrejsów brazylijskich.

ODCZYT ZYGMUNTA NOWAKOWSKIEGO

Staraniem Związku Dziennikarzy R.P. odbędzie się w Ognisku Polskim (45, Belgrave Square, S.W.1) we wtorek 29 lutego b.r. o godz. 18,00 — odczyt

Zygmunta Nowakowskiego

p.t.:

"POLSKA JAKĄ WIDZIMY." Wstęp wolny.

FUNDUSZ RATOWANIA DZIECI

Z okazji imienin ppłk. Aleksandra J. dowódcy b. 20 p.p. w Z.S.R.R. kwotę £15 z przeznaczeniem na pomoc sierotom wywakuowanym z Rosji przesyła grono oficerów b. 20. p.p.

Szanowny Panie Redaktorze,

W załączeniu przesyłam 2 funty /słownie dwa funty/ ofiarowane przez dragona Walczaka z... Dragonów na pomoc dzieciom polskim w Kraju.

Oficer oświatowy J.M.St.

Sumę £17 przelał do "Polish Children Rescue Fund."

NA POLISH RELIEF FUND

Redakcja "Polski Walczący," w Londynie
Zawiadamiam, że Mrs. John Smith — Old Gala House, Galashiels /Selkirk/ złożyła kwotę 10 sh. na Polish Relief Fund /1 załącznik: Postal Order na sh. 10/.

podpis nieczytelny

KOMUNIKAT

Stowarzyszenie Służby Społecznej Kobiet Polskich w Zjednoczonym Królestwie, zawiadamia uprzejmie, że zapowiadany Kurs Służby Społecznej, który miał odbyć się w terminie od 15 lutego do 27 marca b.r. zostaje odroczony do pierwszej połowy marca, wobec czego sekretariat Stowarzyszenia przyjmuje nadal zapisy na powyższy kurs. O dacie otwarcia kursu, nastąpi osobne zawiadomienie. Zgłoszenia należy kierować: pismem na adres H. Wislocka, 14 Strathray Gardens, N.W.3 — osobiste, we wtorki w godzinach 5,15 do 6,30 w bibliotece Ogniska Polskiego, 45, Belgrave Square, S.W.1.

Zbiórka książek

Redakcja "Polski Walczący,"
5, Portugal St., London, W.C.2.

Przy niniejszym załączam wykazy książek, które jednocześnie zostały przesłane pod adresem Redakcji "Polski Walczący" oddzielnymi przesyłkami pocztowymi /10 paczek/ z przeznaczeniem dla oddziałów W.P. na Bliskim Wschodzie.

Załączone wykazy zawierają:
Dział polski 43 egz.
Dział francuski 153 egz.
Dział angielski 181 egz.
D-ca Plutonu Propagandowo-Prasowego
por. M.O.

Bezimiennie dwa tomy Berlita: "Method for teaching."

Przesyłam paczkę egzemplarzy pisma Panów dla naszych żołnierzy na Wschodzie.

Z poważaniem
J. Waga

Dla żołnierzy polskich na Wschodzie St. Reymont: "Chłopi" 4 tomy.

St.P.

Przesyłam w załączeniu dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie: 3 książki polskie, 10 broszur polskich, 5 książek angielskich.

Pułkownik X.Y.

St. Szyfman: "Ogólne podstawy elektrotechniki" od autora dla Armii Polskiej na Wschodzie.

Ogólna suma zebranych dotychczas za pośrednictwem "Polski Walczący" książek dla żołnierzy Armii Polskiej na Srodkowym Wschodzie wynosi 3.521 książek.

Na "paczki od serca": £2,126

Dear Sir,
I enclose herewith a cheque for £40.7.6 /forty pounds, seven shillings and sixpence/ as a donation towards your Fund for Polish Prisoners of War.

This money consists of the fees of £11.0 per person, which was subscribed by the people who attended the Course of Lectures on Poland which was organised at the Polish Heart in November and December, 1943, by the Lectures Section of the Polish Ministry of Information.

Yours sincerely,
/Miss/ Clarissa Borenjusz

W załączeniu przesyłam money order na kwotę £34 sh.14 d.2 na "paczki od serca" dla jeńców sanitariuszy.

Kwota zebrana przez kompanię Sanitarną Brygady Spadochronowej.
Dr. J.M. por. lek.
Z-ca D-cy Spad. Komp. Sanit.

Redakcja "Polski Walczący,"

W związku z odejściem moim na inne stanowisko Szeregowi Szwadronu Łączności złożyli dobrowolnie do mojej dyspozycji kwotę dwadzieścia funtów, którą to całkowicie przeznaczam na jeńców wojennych.

kapitan Hieronim K.

Zamiast wienca na trumnę s.p. strz. Kaczyńskiego Michała kwotę £9.17.0 na "paczki dla jeńców" polskich w Niemczech składają

Dowódca, oficerowie i szeregowi Spadoch. Komp. . . . — panc.

W załączeniu przesyłam czek na £10 /dziesięć £/ złożone przez chorążego Or. S. z 3 Brygady strzelców 1. Dyw. Panc. z okazji awansu z przeznaczeniem na pomoc polskim jeńcom wojennym w Niemczech.

kpt. W.Fr.

Kochany Panie Redaktorze,
Przesyłam w załączeniu czek na £12.10.1 /dwanaście funtów, dziesięć szyl., 1 d./ zebrane w czasie występu Lotniczej Czołówki Teatralnej na naszej Stacji 7. lutego 1944, z prośbą o przekazanie tej kwoty na paczki dla jeńców polskich w Niemczech.

Oficer oświatowy S.P.P.

W załączeniu przesyłam Panu postal order na kwotę sh.17 z prośbą o przekazanie tych pieniędzy na rachunek "paczki od serca."

Kwota ta została zebrana w gronie kolegów 2. Baterii 3. P.A.T. Mot. celem zakupu książki i nie wykorzystana w całości.

Z góry dziękuję za uskutecznienie tej wpłaty, z szacunkiem

podpis nieczytelny

Proszę uprzejmie o przyjęcie tej małej kwoty pieniężnej /30 sh./ na paczki dla jeńców polskich w Niemczech.

Z poważaniem

E.W.

Jako uzupełnienie sumy £66 ogłoszonej w nr. 1 "Polski Walczący" złożonej przez personel wojskowy i cywilny Wojskowego Instytutu Technicznego otrzymaliśmy dodatkowo £1.

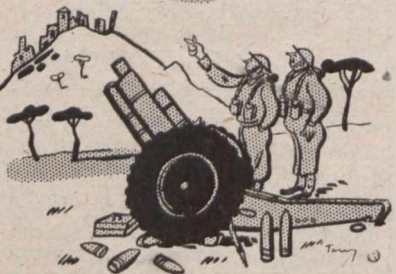
Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £130.15.9 /słownie: sto trzydzieści funtów, piętnaście szylingów i dziewięć i pół pensa/ przekazaliśmy Sekcji Pomocy Polskim Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Służby Społecznej Kobiet.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną do tychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczący" do £2,126.4.1 /słownie: dwa tysiące sto dwadzieścia sześć funtów, cztery szylingi i jeden pens/ 50 milrejsów brazylijskich i dwa dolary amerykańskie.

WERINAJSEK

SMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

NASI WE WŁOSZECH



—Feluś, co ci przypomina ten klasztor?
—Melduję panie kapitanie, że Ty-niec nad Wisłą!
—Dlaczego?
—Też — ruina! . . .

ZMIANA HASEŁ

W związku z naprężoną sytuacją przyszej Europy, wszystkie samoloty "Liberatory" mają być przezwa-ne — "Intruderami" . . .

AKTUALNA ROZMÓWKA

—No jaka jest nasza sytuacja — zapytuje rodak rodaka.
—Lepiej!
—Poprawiła się?
—Nie — lepiej nie mówić!

DOWCIPNIS

Pewien żołnierz z "Czarnej Brygady" po raz pierwszy przybywa na urlop do Londynu. Zatrzymuje się przed "Rubensem" i zadaje pytanie znajomemu.

—Powiedz mi, dlaczego przed wejściem do hotelu stoi taki murek?

—To dlatego, ażeby duch "Reginy" nie wkrał się do wnętrza

DZISIEJSZA PIELGRZYMKA DO RZYMU



Przewodnik kompanii: "Uważajcie, dziura w moście, żeby które nie wpadłoście!" . . .

W DYWIZJI KARPACKIEJ



—Przysięgam Bogu, że jak wrócę do Polski, to do ust już nie wezmę — "włoskich lodów" . . .

DOMYSŁY

—Ciekawy jestem, co Rosjanie zrobią z Królewcem, jeżeli co zajmą? Czy zmienią nazwę miasta, czy też nie!

—Naturalnie! Przeważą go — Carycym!

AUTENTYCZNE

—To jest niesprawiedliwe — mówi kapitan do porucznika — wy w Londynie macie większe nensje od nas w Szkocji!

—Tak, ponieważ my mamy dodatek.

—Jaki dodatek?
—Dodatek — bombowy . . .

TROSKLIWY TATUS

U państwa Goldzilberowiczów mały Izydorek bawi się strzelbą, czołgiem i samolotem.

—Czyś ty zwariował na stare lata? Co ty za głupstwa kupujesz dziecku! Ja chcę, ażeby Izydorek został kupcem, przemysłowcem! Z tego nie będzie miał businessu!

—A Napoleon nie zrobił interesu na wojsku? . . .

PRZESZKODA

—Czy ty wiesz dlaczego jeszcze nie zdobyto — Cassino?

—? ? ?

—Ponieważ każde Cassino jest — "for officers only" . . .

PODSŁUCHANE

—A ja panu mówię, że Niemcy uderza na wiosnę!

—Tak — głowa o mur! . . .

W HYDE PARKU



—Ale à propos — czy ty mnie już nie kochasz?

OBLICZENIE NA OKO



—Panie szefie, na ile ocenia pan tego rodaka?

—Na jakies 240 kuponów miesięcznie . . .

ODPOWIEDNIE WARUNKI

—Słuchajcie Rzepa — mówi szef do jednego z ułanów. — Wy powinniście wstąpić do komandosów! Tam się najlepiej nadajecie!

—Dlaczego panie szefie?

—Bo stale macie brudny pysk i szyję! W komandosach nie potrzebowałibyście się malować! . . .

MILOSNIK MUZYKI

U "Lyonsa" w Londynie orkiestra gra wiazankę pieśni polskich. Do jednego z gości, który płacze, podchodzi kelner:

—Pan Polak?
—Nie — tylko muzyk! . . .

Tekst i rysunki: TONY

Przyjezdni do Blackpool mogą znaleźć doskonale polskie potrawy w restauracji przy ulicy Titanic, 4, Cheapside.

SPIS RZECZY:

Marian Kukiel: "Z ziemi włoskiej . . ." — Aleksander Janowski: Wojna o prawo. — Zbigniew Grabowski: Szkice sytuacyjne. — Z tygodnia na tydzień. — M. J. Gordon: Nowości lotnicze. — Aleksander Janta: Na jenieckim szlaku. W głąb Niemiec. — N.Z.: Polscy komandosowie walczą. — Adam Skąpski: Dzieci polskie na tułaczach szlakach. — Maria Brzeska: Polska — żywymi oczami. Wobec wydarzeń wojennych. — Poszukiwani. — Stefan Gazel: Noc z Klarą na Atlantyku. — Skrzynka pocztowa. — Dla Polaków w Rosji. — Zbiórka książek. — Na "paczki od serca." — Tony: Werinajsek. — Fotografie.

Narodowe Źródła Królewskiego Kąpieliska

ofiarują obecnie zryczałtowaną kurację dla leczenia schorzeń reumatycznych Najlepsza inwestycja dla zdrowia to krótka kuracja, o której cenach i warunkach udziela wszelkich informacji H. Roberts, Manager, Royal Baths, HARRGATE.

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD. Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro. Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej. Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji. Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden lam—sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz. Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

POSZUKIWANIA

Wszystkie osoby, mogące dać jakakolwiek wiadomość o mjr. sap. EUGENIUSZU KRZEMIŃSKIM, do wojny zamieszkałym z rodziną w Czortkowie, proszone są o nadsyłanie ich do Adm. "Polski Walczący" dla inż. S. Januszewskiego.

Pisma na Bliskim i Środkowym Wschodzie proszone są o przedruk.

Rodzina Buczków poszukuje Romana Buczka, ur. 8.VIII.1923 r., syna Mikołaja i Heleny, który 24.II.1942 r. w Zolobacie /oktobrski rejon/ został przyjęty do Armii Polskiej.

BE TALLER!
INCHES PUT YOU MILES AHEAD!
Increased my own height to 6ft. 3ins.
CLIENTS GAIN 1 to 6 inches
No Appliances—No Tablets—No Dieting
Ross System Never Fails
Fee £2 2s. Complete Details 6d. stamp
MALCOLM R. ROSS
Height Specialist
SM/Hyre, London, W.C.1

Wymiar Sprawiedliwości w Wielkiej Brytanii
Autor: Maurice Amos (P.6)
Brytyjskie Związki Zawodowe
Autor: John Price (P.7)

Powyższe dwie prace powiększają serię MIEDZYKRAJOWYCH WYDAWNICTW "GUILD"
Illustracje. Cena 1/- netto
Wydane przez THE BRITISH PUBLISHERS GUILD, 182, High Holborn, London, W.C.1.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.